

10-12

O tym jak Baszta Bluszczowa straciła swoją sukienkę

Ach, jaka jestem piękna! Taka strzelista, smukła, wysoka. Jestem mocna i stabilna. Pewnie stoję na mojej podstawie czworoboku wmurowana wręcz w lęborską ziemię. Wyżej, te nędzne ludziki zbudowały moją smukłą sylwetkę w postaci ośmioboku. Też mi się to podoba. Przez okna patrzę na wszystkie strony świata, mogę się bronić przez otwory strzelnicze. Jestem jedyna w swoim rodzaju. Żadna z moich sióstr, starożytnych baszt, nie ma tak pięknego ciała. Jest nas 32, połączone murem obronnym, trzymamy się razem, splecione ręce spajają nas w zaklęty krąg broniący miasta Lęborka.

Nikt nie zaprzeczy, że to ja jestem najwspanialsza. Wszystkie siostry zazdroszczą mi mojej budowy. Inne baszty nie są tak wspaniałe, no choćby ta Baszta Kwadratowa, taka zwykła prostokątna. Cegła jej zawilgotniała. Obrzydlistwo! A ta Bocianie Gniazdo -toż to ruina! Cegły jej wypadają, tynk się sypie, całkowicie straciła swój blask. Nawet ten nędzny naród człowieczy nie chce jej odbudować. Choć ich nie znoszę, to tu muszę przyznać im rację. Po co mi konkurencja, niech Bocianie Gniazdo się rozpada.

Już niedługo królewski bal. Wszystkie baszty, wieże i bramy się na niego szykują. Będziemy tańczyć z zamkami, pałace stroją swoje fasady, dwory też mają nadzieję być zaproszone. Jestem zauroczona Zamkiem Krzyżackim. Jest taki silny, potężny i mocny. Potrafi obronić miasto. Mam nadzieję, że mu się spodoba. Co mi tam pałac z Runowa, zameczek z Nowęcina, dworek z Porają. To wszystko maleństwa. Zamek Krzyżacki-to królewicz!

Na bal czekam z niecierpliwością, to już niedługo. Przygotowałam na tę okazję najpiękniejszą sukienkę. Zieleń-to symbol nadziei na lepsze jutro. Sukienka z bluszczu leży na mnie jak ulał. Uszyła mi ją Matka Natura na moją miarę. Bluszcz dokładnie otacza każdą moją cegielkę. Ten symbol wiecznego życia dodaje mi blasku i odmładza mnie. Tylko ja mam taką sukienkę. Pozostałe moje siostry są oszalałe z zachwyty. Z zazdrości aż pękają. Sypie się z nich piach i pył. One mają tylko ceglasto-szare suknie. Podarte, pozaciągane biegiem czasu. Tylko mnie Matka Natura

pokochała i obdarowała bluszczem. Muszę spodobać się Zamkowi Krzyżackiemu.

U moich stóp żyje nędzny, ludzki ród. Choć to oni kiedyś budowali wszystkie moje siostry, nie darzę ich szacunkiem. Ludzie są mali, słabi, nędzni. Ludzie chorują, umierają. A my, baszty, jesteśmy wieczne.

Kamienny świat baszt, murów obronnych, zamków przeplata się z innym światem, w którym żyją boskie stworzenia – ludzie. Żyją inaczej niż zamki i pałace. Oni muszą pracować, by zdobyć pożywienie, uprawiać ziemię, hodować zwierzęta. Ludzie muszą przeciwstawiać się deszczom i wiatrom, mrozom i słońcu. A wreszcie muszą dbać o mury, baszty, zamki i pałace, by te dawały im schronienie przed wrogami.

Dawno, dawno temu w czasach, gdy lęborskie baszty oczekiwały na swój królewski bal przyszły na ludzkość ciężkie chwile. Na lęborskiej ziemi panował nieurodzaj, głód szczyrzył swoje zęby na wynędzniałych mieszkańców. Ludzie chorowali, słabli i marnieli. Lęborski młyn nie miał już zboża, zbiory były tak słabe, że zabrakło mąki na chleb. Jakaś choroba ogarnęła mieszkańców Lęborka. Nieustanny kaszel dokuczał każdemu. Dorośli czy dzieci-kaszłali, kaszłali, kaszłali. Dolegliwość ta nie pozwalała im pracować, nie mogli uprawiać roli, hodować bydła. Kaszel zamęczał ich swoją uciążliwością.

Lęborski lekarz, jedyny w okolicy, łamał sobie głowę, jak pomóc mieszkańcom. Robił różne mikstury i napary. Nic nie pomagało. Ludzie kaszłali i słabli. Pewnego dnia szedł zrezygnowany do Sanktuarium św. Jakuba, by prosić Boga o pomoc, pod nogi upadł mu niesiony wiatrem liść bluszczu. Lekarz podniósł go z namysłem i...

Syrop zrobiony z liści bluszczu zaczęli przyjmować mieszkańcy Lęborka. O dziwo, zadziałał! Kaszel zmniejszał się i ustępował, a ludzie odzyskiwali siły. Baszta Bluszczowa zaczęła tracić swoje okrycie. Najpierw zerwano dolną falbanę sukni, potem pojawiły się dziury w rękawach, aż w końcu wszystkie liście z Baszty Bluszczowej zostały oberwane. Społeczeństwo lęborskiej ziemi stało się zdrowe i silne. Uporczywy kaszel już nie utrudniał życia mieszkańcom. Cała suknia baszty została zerwana. Matka Natura poświęciła bluszcz dla ratowania mieszkańców Błękitnej Krainy.

Zarozumiała Baszta Bluszczowa już nigdy nie odzyskała swojej sukienki. A królewski bal? W tych okolicznościach też się nie odbył. Ale może kiedyś lęborskie baszty, wieże, bramy, zamki, dwory, pałace doczekają się królewskich tańców.

7-9

Dawno, dawno temu, na Zamku w Lęborku mieszkał książę Marek. Był on samotny i nieszczęśliwy, ponieważ brakowało mu jego ukochanej księżniczki. Pewnego razu przechadzając się w okolicznym Parku, nad stawkiem napotkał 8 wesołych żabek. Owe zwierzęta przemówiły do Marka. Książę na początku nie zorientował się, że głosy pochodzą od czegoś ukrytego w trawie. Rozglądał się przez kilka minut, aż w końcu jedna, najodważniejsza żabka wskoczyła mu na ramię i zapytała: - dokąd zmierzasz młody człowieku?

Marek przetarł oczy ze zdumienia, i odpowiedział, że spaceruje rozmyślając o swoim życiu i samotności, która doskwiera mu od jakiegoś czasu. Przykucnął, by przyjrzeć się pozostałej gromadce. Żabki nuciły piękną melodię, nieznaną księciu. Młodzieniec usiadł na trawie i wsłuchiwał się w tajemniczy śpiew zielonych stworzeń. Świat wydawał mu się w tym momencie piękniejszy, czuł się weselszy i pełen energii. Melodia płynąca od żabek działała na niego kojąco. Wtem nastała północ i żabki zamieniły się w 8 kamiennych figurek. Marek próbował je ocucić, ale to nie pomogło. Postanowił, więc przyjść następnego dnia o tej samej porze.

Całą noc nie zmrugnął oka, rozmyślał o wydarzeniach z poprzedniego dnia. Kiedy nastało południe, wrócił nad stawek w poszukiwaniu poznanych żabek. Nie było ich w tym samym miejscu, dopiero kiedy usiadł zasmucony myślą, że to był tylko sen, usłyszał piękną, znaną już mu, melodię. To było owe 8 wesołych żabek. Przez dłuższy czas wsłuchiwał się w płynące dźwięki, czując jak euforia wypełnia jego wnętrze. Wtem odważna żabka zapytała księcia, dlaczego jest taki smutny. Marek odpowiedział, że chciałby się zakochać i odnaleźć swoją księżniczkę, która byłaby u jego boku na dobre i na złe. Żabka powiedziała, że może spełnić jego marzenie, ale pod jednym warunkiem. Książę musi im podarować najczystsza baryłkę soli. Zastanowił się on przez chwilę, ale w końcu przystał na ich prośbę. O północy, tak jak poprzedniej nocy, żabki przemieniły się w kamienne figurki.

Następnego dnia książę Marek od razu przystąpił do poszukiwań. Udał się w daleką podróż w głąb kraju z całą swoją świtą. Zlecił zabrać cały skarb jaki należał do zamku. Pokonywali wiele kilometrów w poszukiwaniu czystej baryłki soli. Dotarli do kopalni soli, gdzie górnicy obiecali oddać mu taką baryłkę w zamian za najlepszego konia jakiego książę miał w posiadaniu oraz kilka złotych monet. Szczęśliwy Marek zakupił jeszcze tyle soli, ile byli w stanie przewieźć.

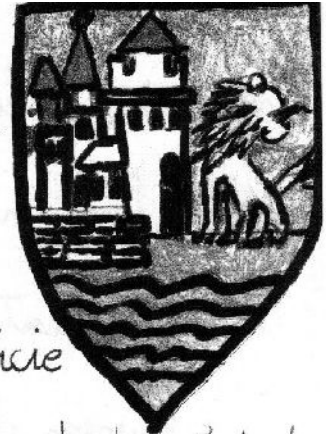
Po powrocie do rodzinnego miasta, tradycyjnie już, poszedł nad stawek koło południa w poszukiwaniu 8 wesołych żabek. Pomogła mu w tym melodia dochodząca z wysokich trzcin. Księżę usiadł nad brzegiem stawku i wsłuchiwał się w znane już mu dźwięki, które sprawiały, że czuł się szczęśliwy. Kiedy żabki przerwały swój koncert, Marek podarował im cenną barytkę soli. Zgodnie z obietnicą, jego marzenie o pięknej, kochającej księżniczce zostało spełnione.

Księżę Marek zakochał się bez pamięci i żył szczęśliwie przez długie lata. Na cześć owych wydarzeń, polecił podwładnym wybudować fontannę z postaciami 8 żabek. Podobno, kiedy koło południa, przechadzając się w okolicach fontanny, będąc w ciszy i zadumie, można usłyszeć płynącą z nich melodię.

Wybudowano również spichlerz do przechowywania soli, a ten służył mieszkańcom przed długie wieki.

Magiczne żabki

10-12



Legenda o Lwie Ziemowicie

Dawno, dawno temu w małym miasteczku Łębork, żył sobie lew o imieniu Ziemowit. Mieszkańcy Łęborka bardzo go szanowali, a lew kiedy była potrzeba zawsze pomagał mieszkańcom.

Ziemowit kochał swoje miasteczko, dlatego uważał, że będzie go ciągle strzegł przed wrogiem. Mieszkańcom dobrze się żyło w Łęborku, było to ciche i spokojne miasteczko, a ludzie byli zgołowi i przyjaźni. Kiedy mieszkańiec wiedział, że gdzieś w Łęborku jest ukryty skarb, ale nikt nie miał odwagi i nie chciał go szukać, ponieważ najstarsi mieszkańcy mówili, że kto ten skarb

znajdzie, będzie nieszczeniwy, a w miasteczku zapanuje chaos. Nikt nie chciał ryzykować nieszcześcią, lecz wieść o Karbie rozenta się po okolicznych wsiach i miasteczkach.

Pewnego dnia znalazł się śmiatek, który przyjechał do Leborka i bez zgody Ziemiowita oraz mieszkańców zaczął szukać Karbu. Mijały dni, a Karbu jak nie było + nie było. Poszukiwacz już miał zrezygnować. Kiedy tak kopał koto ratusza, znalazł w ziemi metalowy przedmiot. Kiedy go podniósł i oryszył z piasku okarato się, że był to klucz, do którego przyкреплена była Karteczka. Okarato s, że Karb jest ukryty głęboko w podziemiach ratusza.

Urządowany poszukiwacz postanowił zakraść się i odnaleźć K. Wieczorem przed zamknięciem ratusza wkraść się do środka i wrzucić do podziemia. Długo bledził w wąskich korytarzach, a

datant do końca jednego z nich. Były tam ciężkie żelazne drzwi. Klucze doskonale do nich pasowały. Brulkiwać, jui, jui miał stworzyć drzwi to na niebie pojawiły się ciemne chmury, zawałt miał silny wiatr i rozszalała się burza. Ludzie bawdz się przestraszyli, uciekali co rzt w nogach do domów. Tedynt Ziemonit zachował zimną krew i domyślił się, że ktoś chce wkraść skarbu. Na szczęście moje pierwsze kroki skierował do natury. Szybko zbiegł do podziemia i po chwili odmalant obcego przybysza, który właśnie miał stworzyć drzwi do skarbu. Ziemonit w ostatniej chwili powstrzymał go i wygonił z natury. Pyszał tak głośno, że słyszeli go wszyscy mieszkańcy Lebonka. Nikt nigdy więcej nie odważał się szukać skarbu.

Od tej chwili ludzie zawsze żyli spokojnie i szczęśliwie. Na wieść dzielnego Lura postanowili zrobić herb i umieścić w nim podobiznę Ziemonita strzegącego swojego miasta. Do dziś w herbie Lebonka jest jego podobizna, a skarb no cóż pewnie leży podziemiach natury.

10-12

1. LEGENDA O BIAŁEJ DAMIE W ZAMKU W NOWĘCINIE

Dawno, dawno temu, kiedy wzburzone wody Morza Bałtyckiego zalały zamek w Starej Lebie, mieszkający tam król przeniósł swoją siedzibę w miejsce bardziej bezpieczne, na południowo-zachodni brzeg jeziora Sarbsko. I tak powstała osada, zwana Nowym Dworem, od której pochodzi obecna nazwa wsi Nowęcín.

Było to niezwykle urokliwe miejsce na ziemi. Zamek stał na niewielkim wzniesieniu i otoczony był ze wszystkich stron głębokimi fosami i mocnymi wałami. Tuż obok rozciągał się przepiękny park, w którym rosły przeróżnych kształtów drzewa i krzewy. Sam budynek zamku był bardzo okazały. Były w nim dwa piętra, a nad nimi górowała sześciokondygnacyjna wieża zakończona krzyżem.

Król i królowa wiedli spokojne życie królewskie. Wokół nich było zawsze dużo służby, a poddani oddani byli im całym sercem. Król bowiem, był dobrym człowiekiem, dbał o swój lud i zawsze pomagał wszystkim potrzebującym. Jego wielką pasją były konie. Obok swojego zamku rozkazał zbudować wielką stajnię, w której hodował konie przeróżnej maści i rasy. Z czasem jednak miłość do tych zwierząt zawiadnęła jego całym życiem. Zaczął zaniedbywać obowiązki królewskie, a także królową, która spędzała samotnie długie wieczory, czekając na powroty swojego męża. Kochała go bowiem bezgranicznie i nie wyobrażała sobie życia bez niego. Marzyła też potajemnie o potomstwie, lecz los nie był dla niej łaskawy.... Z każdym dniem była więc coraz bardziej smutna, przestała nawet jeść i całkowicie opadła z sił. Król, który początkowo wcale nawet nie zauważył, że z jego żoną dzieje się coś złego, przestraszył się nie na żarty. Zaczął sprowadzać medyków z bliska i z daleka, lecz nikt nie potrafił powiedzieć, co dzieje się z królową. Aż pewnego dnia, król będąc na przejażdżce konnej nad morzem spotkał starego wędrowca, któremu opowiedział o swoim zmartwieniu, o chorobie swojej żony. Był to bardzo mądry człowiek, który po krótkiej rozmowie z królem od razu zorientował się, co dolega jego żonie.

- Królową może uratować tylko prawdziwa miłość - powiedział staruszek.

-Niepotrzebne są jej żadne leki, żadni medycy. Królowa potrzebuje bliskości człowieka, którego kocha, zwykłej codziennej rozmowy, a na pewno nabierze sił i energii do życia - dodał wędrowiec.

Wtedy dopiero król „otworzył oczy” i przypomniał sobie, że rzeczywiście się pogubił. Konie przesłoniły mu cały świat i zapomniał o drugiej swojej wielkiej miłości.

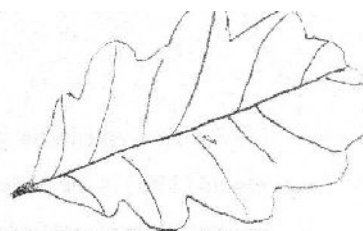
Gdy wrócił do zamku prosto poszedł do komnaty, gdzie leżała królowa, mocno ją przytulił i pocałował. Od tego dnia spędzał z nią każdą wolną chwilę. Czytał jej baśnie, a także dużo i ciekawie opowiadał o koniach, a królowa.... Z każdym dniem nabierała sił i była coraz bardziej wesoła.

Pewnego niedzielnego poranka król widząc, że królowa jest już całkiem zdrowa, postanowił zabrać ją na wycieczkę bryczką do pobliskiego jagodowego lasu. Królowa była przeszczęśliwa. Zaprzągił najładniejsze konie, jakie miał w swojej stajni i przytuleni ruszyli w drogę. Dzień był naprawdę piękny. Ciepły powiew wiatru delikatnie pieścił ich twarze, na których malował się uśmiech. Nagle i niespodziewanie w gąszczu drzew zobaczyli ogromną watahę rozwścieczonych wilków. Przerażone konie zaczęły bez opamiętania gnać przed siebie, a wilki za nimi. W tym momencie na niebie ukazała się duża, jasna luna, z której wyłoniła się postać Białej Damy. Wilki zdziwione zaistniałą sytuacją zrezygnowały z pogoni, a konie bezpiecznym galopem wróciły z powozem do stajni. Stajenni wydostali z bryczki nieprzytomnego króla. Niestety królowej w niej nie było. Po kilku minutach król oprzytomniał, zrozpaczony wrócił do lasu w poszukiwaniu swojej żony. Niestety nigdzie jej nie było....

Jak głosi legenda królowa swoje życie poświęciła ratując męża. To właśnie siła jej bezgranicznej miłości sprawiła, że zamieniła się w Białą Damę i wystraszyła wilki, a sama rozpułyła się w przestworzach.

Do dziś na wieży zamku w Nowęcinnie mieszka Biała Dama, która rozpala miłość w ludzkich sercach i broni wieś przed niebezpieczeństwem.

10-12

Legenda o Zielarce z Witoradza

Na wschodzie miejscowości zwanej Witoradzem na rozległych podmokłych łąkach, które przecinała rzeka Łeba mieszkała zielarka Erna. Miała skromną małą chatkę, uprawiała ogród, w którym rosło kilka drzew owocowych i krzewów. Można było ją spotkać na łąkach i w lasach wczesnym rankiem, kiedy zbierała zioła i kwiaty o wschodzie słońca. Albo wieczorem, kiedy słońce chyliło się ku zachodowi i zioła pachniały najmocniej. Erna starannie je segregowała, wiązała w małe miotłki, suszyła na słońcu, rozdrabniała w moździerzu, robiła lecznicze napary, maści i oleje. Do jej domu bez trudu można było trafić, u wejścia rosły dwa potężne dęby, które pamiętały jeszcze prababcię Erny. Dbiała o nie i bardzo szanowała, jak wszystkie drzewa. Niejedna nalewka i maści powstały z ich ziołódzi, kory dębowej i liści.

Była piękną dziewczyną. Miała długie miedziane włosy, duże zielone oczy widzące więcej niż zwykły śmiertelnik. Potrafiła uleczyć nie tylko ciało ale także duszę. Ludzie przychodzili do niej i z dolegliwościami cielesnymi, i z bólem serca po zawiedzionej miłości, powierzali jej wszystkie swoje zmartwienia. Jak nikt inny Erna potrafiła wysłuchać i pokrzepić dobrym słowem. Do jej małego domku chętnie zaglądały dzieci łase na przysmaki z miodu i owoców. Kiedy szła ze swym koszykiem zbierać zioła i leśne owoce, jej lekka sylwetka niemal płynęła nad ziemią. Miała wielkie serce dla ludzi i zwierząt. W jej objęciu niczym w małym przytulisku zawsze był jakiś pacjent – a to sarna ze zwichniętą nóżką, a to sowa ze złamanym skrzydłem. Niekiedy zostawały przy niej na zawsze.

Z pomocy Erny korzystali nie tylko mieszkańcy Witoradza i Chocielewa, ale również okolicznych wiosek. Nawet w środku nocy potrafili przyjechać po pomoc do zielarki chorzy z pałacu w Lischnitz, z majątku Neuendorf, Rettkewitz a nawet z odległego Lauenburga. Nikomu nie odmówiła pomocy. Leczyła tym co sama zrobiła, doskonale знаła działania swoich ziół i syropów. Zawsze wzbraniała się przed nazywaniem jej lekarzem, medykiem czy znachorem. Mawiała, że nie używa tajemnych mocy i zaklęć do uzdrawiania ludzi i zwierząt – "ja tylko pomagam, korzystam z tego co daje las, łąka i woda, a to nieprzebrane bogactwo."

Witoradzem i Chocielewem zarządzał w tym czasie hrabia Witt – zrozumiął, chciwy i okrutny dla swoich poddanych. Uważał siebie i swoją rodzinę za lepszych od

innych ze względu na wielki majątek i wykształcenie. Zdecydował nawet o tym, że jego rodzina i bliscy nie będą nigdy grzebani w tej samej ziemi co prości chłopci z podległych mu wiosek. W tym celu na wzgórzu, z którego rozpościerał się piękny widok na łąki i dolinę rzeki Leby, zbudował kamienną kaplicę, do której nie miał wstępu nikt poza rodziną i bogatymi krewnymi. Nazwał ją Górą Kapliczną i tam kazał ziemię poświęcić pod "cmentarz dla wybranych".

Jedyny syn hrabiego Witta – Erik był niestety kopią ojca. Uwielbiał krwawe polowania, gardził ludźmi i nie szanował zwierząt. Pewnego wiosennego wieczoru wyruszył na przejażdżkę na swym karym koniu. Na pobliskich łąkach dla rozrywki strzelał do młodych przerażonych lisków. Świetnie się bawił, jego śmiech odbijał się echem od ścian lasu. Nagle spod kopyt wierzchowca zerwała się do lotu wystraszona czajka. Koń stanął dęba i nieuważny jeździec spadł. Raniąc się boleśnie w głowę stracił przytomność a spłoszony koń pognął przed siebie na bagna.

Tego samego wieczoru Erna zbierała na łąkach świeże zioła macierzanki i rumianku. Rozpoznała w znalezionym rannym zniechęconego przez okolicę Erika i z trudem zawlokła go do swojej chatki. Opatrzyła jego rany na głowie, które okazały się nie tak groźne na jakie wyglądały. Czuwała przy nim całą noc a o świcie Erik odzyskał przytomność. Niewiele pamiętał ze swojej wieczornej wyprawy. Jednak wskutek wypadku musiał leżeć i pozostać pod opieką dziewczyny, czy tego chciał czy nie. Cały dzień Erna opowiadała mu o tym jak go znalazła, o swoim życiu, o leczeniu ziołami, pomaganiu chorym i o tym, że warto otworzyć serce i pomagać innym.

Tymczasem we dworze zorientowano się, że kary koń panicza powrócił do stajni bez jeźdźcy. Natychmiast rozpoczęto poszukiwania. Kiedy stajenny przekazał rodzinie wiadomość, że Erik żyje i przebywa w domu zielarki Erny, rodzice przyjechali po niego najlepszą karocą zaprzężoną w cztery reprezentacyjne siwe konie. Grzecznie i oficjalnie podziękowali dziewczynie za opiekę nad synem. Nie umknęło uwadze hrabiny i zaniepokoiło ją srodze to, jak młodzi na siebie patrzą. Wciskając w kieszeń fartuszka Erny złotą monetę wycedziła przez zęby "Trzymaj się od niego z daleka, czarownico!"

Jednak Erik nie mógł zapomnieć o pięknej i dobrej zielarce, która uratowała mu życie. Zmienił się, przestał go bawić bale i polowania – zaczął dostrzegać ludzi ubogich i potrzebujących w swoim majątku. Inaczej traktował też zwierzęta, miał wrażenie, że każde z nich patrzy na niego oczyma Erny. Rodzice byli przekonani, że zielarka rzuciła na niego

czar. "To niedorzeczne – mówiła matka – ta prosta chłopka, czarownica, kto wie jakie zioła ci tam gotowała! Jakie czary odprawiała, co za ciemnota i zabobony! Jeszcze kilka dni i zapomnisz, wyprawimy wielkie przyjęcie z okazji twego powrotu do zdrowia, na bal przybędzie mnóstwo bogatych panien z okolicznych majątków – to jest towarzystwo dla ciebie mój synu."

Nie mogła zapomnieć także Erna, chociaż rozsądek podpowiadał jej co innego, serce tęskniło do Erika. Młodzi zaczęli spotykać się potajemnie. Niestety hrabia Witt szybko odkrył ich tajemnicę. Zagroził synowi, że jeśli nie zakończy skandalicznego romansu wydziedziczy go i wygna z domu. Słowa te nie zrobiły na młodym mężczyźnie wrażenia. Oświadczył rodzicom, że ponad wszystko kocha Ernę i zamierza ją poślubić. Wtedy hrabina wpadła na potworny pomysł – rozkazała pod osłoną nocy zniszczyć dobytek zielarki, ściąć dwa okazałe dęby a jej dom spalić. Nie miała pojęcia, że tej nocy Erik nie spędzał we dworze...

Dym ze spalonego domostwa długo unosił się nad łąkami i rzeką. Przerazone zwierzęta, które rozpiechły się na wszystkie strony co wieczór powracały na miejsce szukając swojej pani. Na próżno. Na pogorzelisku wśród popiołu została tylko złota moneta. Jakże wysoką cenę zapłaciła hrabina.

W wiosce i okolicy zrobiło się cicho, nawet ptaki przestały śpiewać. Chociaż ciała Erny i Erika nigdy nie odnaleziono, wszyscy byli pewni, że młodzi zginęli w płomieniach, ale nikt nie odważył się powiedzieć tego głośno. Zrozpaczeni mieszkańcy postanowili w tajemnicy postawić im symboliczne mogiły na cmentarzu w dolnym Chocielewie miejscu pochówku dla ubogich, którymi hrabia Witt tak gardził.

Po dziś dzień stoją tam obok siebie dwa kamienne nagrobki w kształcie pni dębowych z pięknymi ornamentami żołędzi i liści – co symbolizuje honor, siłę i niezłomność – cechy, które przypisać można Ernie i Erikowi. Mieszkańcy obecnego Chocielewka mówią czasem między sobą szeptem, że widują dwie postacie trzymające się za ręce, snujące się we mgle rankiem lub o zachodzie słońca pomiędzy kościołem, Górą Kapliczną a przydrożnym głazem Bismarcka.

Czy to bajki? Kto nie chce, niech nie wierzy. Historia ta mogła wydarzyć się dawno dawno temu albo sto lat temu...to bez znaczenia, bo zawsze istnieli ludzie, którzy dostrzegali potrzebujących i wierzyli, że należy pomagać innym zgodnie ze swoimi

umiejętnościami i zdolnościami, bez względu na to czy są bogaci czy biedni. Zawsze też istnieli ludzie o twardych sercach, dla których na pierwszym miejscu był majątek i pieniądze.

„TAJEMNICE STAREGO KOŚCIOŁA W ŁEBIE”

+
10-12

Opisywana przeze mnie historia rozpoczęła się bardzo dawno temu, bo jeszcze w średniowieczu, w XVI wieku. W tym czasie wybudowano na terenie osady w Łebie kościół św. Mikołaja-opiekuna rybaków i żeglarzy. Budowlę wykonano z czerwonej cegły i choć nie była wielkich rozmiarów, sprawiała wrażenie masywnej i potężnej. Kościół mieścił się w samym centrum osady Łeba, której mieszkańcy zajmowali się głównie rybołówstwem. Przez dziesiątki lat ludzie żyli spokojnie, pracowali, odpoczywali, modlili się i świętowali.

Pewnego dnia nastąpiło coś niezwykłego, co nikomu wcześniej nie przyszło do głowy. Na morzu rozszalał się ogromny sztorm, któremu towarzyszył dziwny dźwięk, przypominający ryk groźnego zwierzęcia. Gigantyczne fale wdarły się w okamgnieniu na ląd. Mieszkańcy osady uciekali w popłochu, a część z nich schroniła się w podziemiach kościoła. Wszyscy płakali i modlili się o ocalenie. Wszędzie zapanowała ciemność i strach. Nieoczekiwanie, pod naporem wody i wiatru mury kościoła popękały i zawaliły się. W ułamku sekundy ludzie zostali całkowicie uwięzieni. Po jakimś czasie wszyscy przestali już wierzyć w ocalenie. Nikt nie spodziewał, że ktokolwiek mógł przeżyć poza murami kościoła i może uratować zasypanych. W końcu po dwóch dniach zasypani ludzie niespodziewanie usłyszeli z daleka głośnie nawoływania. Ktoś wreszcie przyszedł im na ratunek. Był to stary rybak, którego wielki sztorm zastał na morzu, a jego łódka jako jedyna dotarła bezpiecznie do brzegu. Starzec przez kolejne dwa dni mozolnie usuwał zasypane ruiny. W pewnej chwili ujrzał uwięzionych w podziemiach ludzi i uratował ich wszystkich. Dookoła nich panowała już cisza i świeciło słońce, ale oprócz ruin kościoła i połamanych drzew nie pozostało nic z ich osady. Mieszkańcy na nowo zaczęli budować swoje domy, ale z daleka od morza, aby kolejny sztorm nie zniszczył ich dorobku.

Stary rybak dożył stu lat i został pochowany w podziemiach starego kościoła. Nadal pilnuje mieszkańców Łeby i czuwa nad nimi. Po prawie pięciuset latach od opisywanego wydarzenia ruiny kościoła nadal można zobaczyć, lecz nikt nie zna do końca ich tajemnic.

W pięknej malowniczej wiosce o nazwie Felumia ^{***}
znajdowała się biała kapliczka, a w środku piękna 10-

Maryja w wielkim płaszczu. W święta zgubiła była świec-
na lampkami, aby każdy mógł ją z daleka zobaczyć.
Gdy dzieci szły do szkoły, najpierw szły się pomodlić
za całą rodzinę.

Pierwszego ranka, w Święta Bożego Narodzenia -
nagle zgasły lampki, wszyscy byli zdziwieni co się stało.
Zebrały się wszystkie dzieci, aby sprawdzić co się
stało. Coś dziwnego, kable były pogryzione, a niedaleko
w krzakach leżał poranny młody dąb, czarny pies,
który bardzo pisał z bólu. Pierwsza grupa poszła
na poligę, aby opowiedzieć co widzieli. Druga grupa
filmowała psa, który pogryzał kable. Gdy
przyjechała policja i stróżnica opowiedziała
młodzieńcom postanowiono zabrać psa do
weterynarza, aby udzielił mu pomocy. Weterynarz
opatrzył psa i powiedział, że wypadek z tego. Polica
wzmaga, że jeśli nie ma on właściciela będzie trzeba
go odwieźć do schroniska. Dzieci się posmutniały,
zrobiło się im złośliwie. Mała dziewczynka o
imieniu Basia spojrzała w jego czarne, smutne
oczy i odrazu wiedziała, że on musi być jej.
Bardzo zaczęła prosić mamę, aby mogła zabrać
go do domu. Mama początkowo nie chciała się
zgodzić, ale Basia ułagala mamę. Święta

Bożego Narodzenia to magiczny czas, miłk
nie może zostać sam i bez pomocy. Mamie
serce zmiekło i zgodziła się, aby piesek został
z nimi. Wszystkim dzieciom udało, że nie będzie trzeba
go oddać do schroniska. Figurka Matki Bożej uratowała
porzucanego psa, a dzieci dały sprawie ma, imię
Iskunka. Wszyscy rozeszli się do swoich domów
decydując, że mama zmalarła dom na zewnątrz. Na drugi
dzień figurce naprawiono kable i znowu
zaskwiciła się jasno.

Dzieci od tej pory każdego dnia odwiedzają
Matkę Bożą dziękując jej za nowe nadziumy i
mając święt Bożego Narodzenia. Wydarzenia z
pechowego wieczoru przyniosły jednak dużo
dobrego. Wszystkie wypadki w życiu mają jakiś cel.

Legenda "O naszyjniku zła"

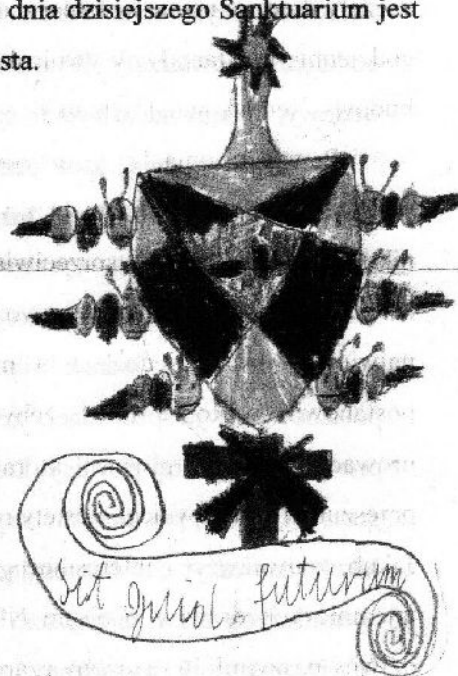
10-12

W 1341 roku rozpoczęto budowę kościoła. Robotnicy z wielką ochotą i zaangażowaniem zajęli się budową. Pracowali wytrwale miesiącami, gdy zauważyli, że budowla co noc wraca niemal do takiego samego stanu, co na początku dnia. Robotnicy główkowali nad tym dziwnym zjawiskiem, myśleli dniami i nocami, co z tym zrobić. Pytali mieszkańców i uczonych, jednak nikt nie potrafił pomóc. Po kilku tygodniach zdecydowano, że kościoła jednak nie będzie. Zrezygnowano z dalszej budowy. Wówczas wszystkich pracowników zaczęły dręczyć nocne koszmary, o budowlę, którą kruszy lekki wiatr. Sny te się codziennie powtarzały. Wywnioskowali, że musi to coś znaczyć i powrócili do budowy, jednak nadal była to syzyfowa praca.

Pewnego dnia, ktoś przypomniał sobie, że w tym miejscu był dom państwa Krewnik. Byli oni bardzo złymi ludźmi. Z nikim się nie przyjaźnili, nikomu nie pomagali, sprzeciwiali się wierzącym, kpili z modlących się. Mieszkańcy twierdzili, że państwo Krewnik zakopali w podziemiach domu swój największy skarb, jednak nikt nie wiedział, co to może być. Pracownicy postanowili wykopać tunel, żeby odnaleźć ten przedmiot. Wykopany tunel prowadził do starej piwnicy, która była zakurzona i pełna pajęczyn. Robotnicy przeszukali całą piwnicę, niestety nic nie znaleźli. Nagle, jeden z nich, o imieniu Jakub, zauważył coś interesującego - kilka klejnotów wskazujących drogę do tajemniczych drzwi z napisem NIE WCHODZIĆ. Weszli ostrożnie i odkryli dziwny naszyjnik, wysadzony czarnymi kryształami, które promieniowały złem. Jakub ostrożnie go podniósł. Zadowoleni pracownicy skierowali się w stronę wyjścia, ale okazało się, że zostało ono zasypane skałami. Szukali innego wyjścia, lecz żadnego nie znaleźli. Robotnicy stracili nadzieję, jednak Jakub był dobrej myśli i ... nagle ujrzał pszczołę, która ewidentnie chciała pomóc. Mężczyzna pokazał towarzyszom owada. Wszyscy odetchnęli z ulgą i wyruszyli w drogę za pszczołą. Owad wyprowadził ich tajnym przejściem ze schodami.

Wyszli i spostrzegli, że przejście jest dokładnie w tym miejscu, w którym zakończyli budowę poprzedniego dnia. Nagle znaleziony naszyjnik zaczął pobłyskiwać w słońcu różnymi kolorami tęczy i niespodziewanie wypadł z rąk Jakuba. Wtem zaczął wiać bardzo silny wiatr, który uniósł naszyjnik nad ziemią i poniosł w dal. Według niektórych wpadł do rzeki Łeby i wraz z nurtem rzeki popłynął do morza. Być może leży teraz gdzieś na dnie oceanu.

Wraz ze utonięciem naszyjnika zniknęły wszystkie problemy związane z budową kościoła, dzięki czemu w 1345 roku w Lęborku stanęła przepiękna obronna budowla. Jakub, który odnalazł naszyjnik, był inspiracją do nazwania kościoła imieniem św. Jakuba Apostoła. Do dnia dzisiejszego Sanktuarium jest jednym z ładniejszych obiektów naszego miasta.



1 WALECZNA
13-15 lat**Legenda o dębie „Arkadiusz” w Ulini**

Był spokojny wieczór. Na horyzoncie widać było piękne, żarzące się odcieniami złota i szkarłatu zachodzące słońce odbijające się od powierzchni wyjątkowo spokojnego morza. Raz po raz błyskało światło z latarni morskiej Stilo. Tylko gdzieś w oddali słychać było dźwięki wydawane przez odbijające się od ziemi kopyta galopującego konia.

Na koniu galopował Arkadiusz, ubogi lęboreczanin o ciemnych włosach i równie ciemnych oczach, przypominających z barwy korę drzewa. Nie miał w dorobku nic oprócz paru łachmanów, swojego konia Jesionka oraz miłości przepełniającej jego serce - miłości do pięknej Ewy, tajemniczej dziewczyny znad morza. Nie wiedział nic o jej pochodzeniu. Gdy pytał ją, gdzie mieszka, ona tylko parskała śmiechem i mówiła:

- Nie uwierzyłybyś, gdybym ci powiedziała. Gdybyś wiedział, blask zachodzącego słońca straciłby dla ciebie wartość. Ja straciłabym dla ciebie wartość, bo zrozumiałbyś, że jesteś nikim w porównaniu do mnie. A przecież jesteś mi jedyny na świecie!

I zmieniała temat.

Mimo tego, chłopak kochał ją. Była dla niego jak chleb dla ciała, jak ukojenie dla duszy, niczym wolność dla ptaka, odpoczynek dla zmęczonego. Była kimś, komu mógł się zwierzyć, zdradzić swoje sekrety, powierzyć swoje radości i smutki. Zajęła prawie wszystkie jego myśli. Nie mógł sobie wyobrazić, że mogłoby zabraknąć Ewy w jego życiu. Po prostu nie mógł.

Ewa była dziewczyną o bladej jak śnieg cerze, lśniących, powiewających nawet przy niezbyt porywistym wietrze blond włosach oraz przenikliwych, zielonych oczach. Gdy Ewa patrzyła na Arka, jemu zdawało się, że dziewczyna już wszystko o nim wie. Wie, co składało się na jego skromne śniadanie, których strażników minął przy bramie miasta, którą drogą dotarł do niej...

Jesionek zatrzymał się, gdy kopyta konia zetknęły się ze złocistym piaskiem przykrywającym plażę. Arkadiusz zszedł z siodła i zapatrzył się w morze. Stąd morze wyglądało jeszcze piękniej – wyglądało zupełnie tak, jakby słońce zaraz miało w nim utonąć i rozpuścić się, pozostawiając jedynie maleńkie, szkarłatne i złote drobiny. Lecz to nie morze ani słońce przykuło jego uwagę, tylko dziewczyna w skromnej, białej sukni, z nagimi stopami zamoczonymi w taflę wodnej, uśmiechająca się radośnie.

To była Ewa. Kiedy tylko zobaczyła lęboreczanina, podbiegła do niego i wpadła w jego objęcia.

- Tak bardzo tęskniłam! - powiedziała. Jej głos był słodki i melodyjny, zupełnie jak pieśń grana przez wędrownego grajka, ale również tajemniczy i uwodzicielski. - Tęskniłam mimo tego, że od naszego spotkania minął tylko dzień!
- Ja też tęskniłem - odrzekł cicho. Arek nigdy nie podnosił głosu w towarzystwie dziewczyny, traktował ją jak ptaszka, którego łatwo spłoszyć.
- Ewa spojrzała chłopakowi prosto w oczy. Widać było, że jest zaniepokojona.
- Coś się stało? - zapytał Arek.
- Będę musiała cię opuścić... Na dłuższy czas. Ale nie martw się, wrócę - odparła smutno.

Młodzieniec poczuł się, jakby ktoś wbił mu nóż prosto w serce. „Nie, nie, to niemożliwe. To nie może być prawda...” - powtarzał w myślach. Przecież jego ukochana nie mogła tak po prostu go teraz opuścić! W duszy Arka wszystko zaczęło się przewracać, poczuł nieznany mu dotąd lęk przed stratą. Skoro nie miał nic wartościowego, nie bał się tego utracić. Aż do teraz - miłość była wszystkim, co miał, ważniejsza nawet od najpiękniejszych klejnotów całego świata. Po prostu nie mógł uwierzyć, że rozstanie będzie musiało kiedyś nastąpić!

Chłopak nie był w stanie nic powiedzieć. Na szczęście, Ewa najwyraźniej to rozumiała i sama kontynuowała rozmowę:

- Nie zamartwiaj się jednak. Wrócę do ciebie - powiedziała cicho. - Jednak będziesz musiał mi coś obiecać. Tymczasowe rozstanie to trening wytrwałości. Przyrzeknij, że będziesz, jak dawniej, codziennie wypatrywał mnie pod latarnią. Jeśli dotrzymasz słowa, będziesz przy mnie wtedy, kiedy powrócę.

Arek pomyślał przez chwilę. Wizja, że miałby codziennie przychodzić, nie wydawała mu się niczym skomplikowanym. W końcu przychodził tu codziennie! Jediną różnicą byłoby to, że musiałby czekać, aż jego ukochana się zjawi. Bez wahania, położył rękę na piersi i rzekł:

- Przysięgam.

Ewa spojrzała na chłopaka z satysfakcją. Jednak Arkadiusz czuł, że to nie jedyna rzecz, którą będzie musiał przyrzec. Tak, jak zakładał, Ewa położyła mu rękę na ramieniu i spojrzała prosto w oczy.

- Jest jeszcze coś, co będziesz musiał mi obiecać – zaczęła. - Mężczyźni bywają zmienni, niekiedy nie potrafią oprzeć się pokusie i powierzają swoje serce innej kobiecie. Rozstanie niech będzie dla ciebie treningiem stałości. Przysięgnij, że kiedy wrócę, twoje serce dalej będzie moje, że nie pokochasz innej kobiety. Jeśli dotrzymasz słowa, nic nie stanie na przeszkodzie, byś mnie znowu ujrzał.

Ponownie Arek zastanowił się przez chwilę. „Czy mógłbym porzucić Ewę i pokochać kogoś innego? Nie, z pewnością nie...” - pomyślał. Był tego pewien, jak tego, że następnego dnia znowu wszędzie słońce. Ponownie położył rękę na piersi i rzekł:

- Przysięgam.

Oczy Ewy zaiskrzyły. Podwójna przysięga była czymś, co z pewnością utwierdziło ją w przekonaniu, że Arek nie zapomni o niej.

- Wiesz jednak, na co przed chwilą się zgodziłeś? - zapytała niepewnie. - Łamiąc przysięgę, złamałbyś naszą miłość, mnie, samego siebie. Masz tego świadomość?

- Oczywiście – odparł. - Póki słońce na niebie nie przestanie wschodzić, póki gwiazdy i księżyc nie schowają się na wieki, ty wiesz, że nie zapomnę o tobie – po tych słowach, objął ją po raz ostatni.

Dziewczyna uśmiechnęła się tajemniczo.

- Zobaczymy – powiedziała. - Żegnaj! - dodała jeszcze i odeszła w nieznanym Arkowi kierunku.

Złamany brunet spojrzał jeszcze raz w tę stronę, w którą odeszła dziewczyna, a kiedy pojął, że nie tu po nim, dosiadł swojego konia i odjechał.

Mijały dni, tygodnie, miesiące... Każdego dnia Arek zajmował się swoim ubogim życiem. Z nieznanego mu przyczyny, do jego domu co jakiś czas tajemniczy darczyńca donosił sakiewkę z pieniędzmi, więc chłopaka było stać na wyżywienie siebie i Jesionka. Swoją czas poświęcał jeździe konnej, bo tylko w tym zajęciu odnajdywał ukojenie dla swoich niespokojnych myśli krążących wokół zniknięcia Ewy. Arkadiusz pamiętał jednak o złożonej obietnicy i każdego wieczoru pojawiał się na plaży, przy latarni morskiej Stilo i wpatrywał się w szkarłat zachodu, mając nadzieję, że niedługo ujrzy ukochaną. Jak dotąd, jeszcze nie dała żadnych oznak życia.

Los chciał, by Arek znalazł się pewnego dnia w jednej z okolicznych wsi. Gdy zatrzymał się przy rzeczce, by napoić Jesionka, z kieszeni wypadła mu niewielka muszelka – jedyna pamiątka po tajemniczej blondynce znad morza. Ofiarowała ją mu tego dnia, gdy po raz pierwszy młodzieniec zapytał ją o pochodzenie. Kiedy już miał się schylić, by podnieść zgubę, coś go powstrzymało.

A raczej ktoś. Jego oczom ukazała się przepiękna dziewczyna, piękniejsza nawet od Ewy. Miała oliwkową cerę, czarne jak heban włosy, błękitne oczy i czerwone jak zachodzące słońce usta. Ubrana była w okazałą, zieloną suknię z falbanami. Gdy Arek tylko spojrzał na tę piękność, oniemiał i zapomniawszy, czego szukał.

- Co pana sprowadza w te okolice? - zapytała dziewczyna.

Arkadiusz był pewien, że nie wykrztusi ani słowa. W końcu jednak opamiętał się i rzekł:

- Jestem Arkadiusz z Lęborka, do usług. Codziennie jeżdżę konno w okolicach tej wsi i zatrzymałem się, by napoić mojego konia.

Młoda dama wydała się Arkowi wyraźnie zainteresowana. Nic dziwnego, że kontynuowała rozmowę.

- Z Lęborka? No, proszę, w końcu to niedaleko. Ja jestem Lilianna. Może przyszedłby pan do mojego dworku o zachodzie słońca na kolację? To całkiem niedaleko, na skraju pobliskiego

lasu. Chętnie dowiem się o panu czegoś więcej!

Arek już miał przystać na propozycję Lilianny, lecz przypomniał sobie o obietnicy złożonej Ewie i jej przestrodze przed jej złamaniem. Nie chciałby przecież nie dotrzymać danego słowa. Opowiedział więc nowo poznanej dziewczynie o Ewie, o tym, że zbyt wiele o niej nie wie i o obietnicy złożonej przez niego. Kiedy skończył, Lilianna roześmiała się.

- Powierzył pan serce dziewczynie, o której praktycznie nic pan nie wie? Niezbyt to dobra kandydatka na wybrankę serca. Poza tym, nic się nie stanie, jeśli jeden raz nie uda się pan pod latarnię. Jeśli ona pana kocha, to z pewnością zaczeka, nie mam racji?

Z początku serce Arka buntowało się. Gdzieś w głębi duszy narastał głos mówiący „Nie zgadzaj się! Przecież obiecałeś!”. Jednak ten głos został przyćmiony przez inny, mówiący „Przecież nic się nie stanie, jeśli raz pójdziesz na kolację!”. Chłopak posłuchał tego drugiego głosu i zgodził się na posiłek u pięknej Lilianny.

Arek zrobił tak, jak postanowił. O zachodzie słońca zjawił się w dworku Lilianny. Dziewczyna przywitała go ciepło i zaprowadziła do okazałej jadalni, gdzie przygotowana została równie bogata kolacja. Arkadiusz jeszcze nigdy nie miał okazji jeść tak pysznego jedzenia! Wraz z nowo poznaną dziewczyną rozmawiali aż do rana – a to o ich pochodzeniu, życiu, o tym, kto ich zdaniem jest najlepszym łębskim mleczarzem i o innych sprawach.

Wychodząc z domu pięknej brunetki, Arek znowu przypomniał sobie o Ewie i złożonej obietnicy. Wiedział, że możliwe, iż dziewczyna znowu się nie pojawiła, jednak wolał zrekompensować swoją nieobecność wieczorem i pojawić się teraz. Bez chwili namysłu dosiadł więc Jesionka i pogalopował w kierunku morza i latarni Stilo.

Chłopak galopował i galopował, tak szybko, jak to potrafił jego koń, a kiedy pojawił się pod latarnią, słońce zdążyło już wzejść i całkowicie oświetlić okolice swoimi ciepłymi promieniami. Arek zszedł z konia i pobiegł w kierunku fal, gdyż zdawało mu się, że zauważył ukochaną blondynkę. Dziewczyna, jak przy ich ostatnim spotkaniu, moczyła bose stopy w wodzie. Jediną różnicą było to, że Ewa nawet nie odwróciła się do niego. Podśpiewywała jednak cicho, ale wyraźnie:

*Kto przysięgi nie dotrzyma,
tego życie się nie ima.
W drewno zmienia jego kości,
nie zaspokoi mojej złości.
Włosy w liście się zamienia,
jego usta skamieniają,
oczy światła nie zobaczą
i nad złym losem nie zapłaczą.
Oto kara za pragnienie mej miłości
i za obietnicy złamanie nie zaznasz litości!*

W duszy Arka pojawiła się myśl „Czyżby ta dziwaczna pieśń dotyczyła właśnie mnie?”. Miał jednak nadzieję, że uda mu się uspokoić Ewę. Chociaż z drugiej strony, co takiego mogła mu zrobić prosta dziewczyna znad morza?

- Ewo! - zawołał.

Dziewczyna odwróciła się. Jej oczy kipiały złością, usta wykrzywiła w okropnym grymasie. Na jej twarzy nie pozostało ani cienia dawnej miłości.

- Cóż znaczy ten uśmiech? I ta piosenka? - zapytał przerażony.

Ewa uśmiechnęła się perfidnie.

- Nie pojawiłeś się o zachodzie słońca – jej głos brzmiał niczym syk jadowitej zmii. - Wiem, że przychodziłeś tutaj codziennie, tak jak cię o to prosiłam. Obserwowałam cię z ukrycia. Tym razem jednak ja czekałam, a nie było cię tu. Zdradziłeś mnie! Złamałeś przysięgę! - krzyknęła.

- Kochanie, ty nie rozumiesz! To była tylko kolacja! - chłopak zaczął się tłumaczyć. - Skąd mogłem wiedzieć, że akurat tego wieczoru się pojawisz!

Nagle dostał olśnienia. Przecież... Ewa widziała go tutaj codziennie, czyli nigdzie nie odeszła! Czyli to miała być tylko próba, test wytrzymałości, jak sama mówiła. Gdzie jednak była przez ten czas, skoro nawet jej nie zauważył?

– Kim jesteś? - Arkadiusz był teraz w stanie wypowiedzieć tylko to pytanie.

– Jestem nimfą Bałtyku! - powiedziała, a jej głos rozniósł się echem po całej okolicy.

Nie wiedząc, co robić w tej sytuacji, Arek zaczął uciekać. Jednak nimfa Bałtyku kontynuowała.

– Złamałeś przysięgę i tak, jak Cię uprzedzałam, poniesiesz konsekwencje. Twoje nogi zamienią się w korzenie. Twoje ręce – w gałęzie. Włosy rozrosną się i staną się zielonymi liśćmi. Nic już nie zobaczysz, nic już nie powiesz. Jedynie wiatr będzie kołysał twoimi liśćmi, jak mu będzie się podobało. Nie uciekniesz przed karą!

Nagle zerwał się ogromnie porywisty wiatr, który zerwał Arka z nóg! Biedny chłopak zaczął frunąć, miotany siłami natury. Kompletnie stracił rachubę, w którą stronę leci – czy to na północ, a może na zachód. Arkadiusz próbował złapać się mijanych drzew, byle tylko nie lecieć dalej. Niestety, bezskutecznie.

W końcu wiatr ucichł. Arek upadł na ściółkę wyścielającą las. Gdzie był i który to był las – nie wiedział. Kiedy chłopak spróbował wstać, by zobaczyć, czy nic mu się nie stało, jego ciało ani drgnęło. Jak zaśpiewała i powiedziała mu nimfa, jego tułów stał się korą, nogi konarami, a ręce i głowa rozgałęziły się i utworzyły szeroką sieć gałęzi. Nie mógł wykrztusić z siebie ani słowa, a gdy tylko spróbował się rozejrzeć, zrozumiał, że oczu już nie miał. Widział jedynie ciemność, jeśli można powiedzieć, że coś widział. Wkrótce nawet przestał myśleć. Arkadiusz stał się dużym, okazałym dębem.

Ten dąb można zobaczyć po dziś dzień w Ulini. Nazwany został „Arkadiusz” i pewnie już wiecie, dlaczego. Zastanawia mnie jednak, czy ktoś widział przemianę młodego łęborczanina w drzewo, czy może małeńki wróbelek podpowiedział pewnemu botanikowi na ucho imię „Arkadiusz”. A może ktoś poznał nimfę Ewę i to ona podpowiedziała, jak nazywa się to drzewo? Nie wiem...

WALECZNA

15 lat

13-15



Dębowa klątwa

Słońce chyliło się ku zachodowi, zdawałoby się, że na plaży nie było żywej duszy. Piasek skrzypiał pod stopami Izabeli, a morską bryza powiewała leniwie, nosząc miewi śpiew. Męska postać zbliżała się powoli w jej kierunku.

- Chodź Izabelo! - wołał mężczyzna uśmiechając się do dziewczyny. Jego długie, brązowe włosy powiewały na wietrze. Gdy podchodziła bliżej wody, wiatr i morskie fale jakby się uspokoiły. Jegomość odwrócił się w stronę morza i patrzył na nie przez kilka sekund.

- Muszę ci coś powiedzieć... – spojrzał na dziewczynę i powiedział tym razem z widocznym smutkiem na twarzy. To był Świętopelk.

Czas jakby się zatrzymał i obraz, jaki Izabela miała przed oczami, zaczynał się rozmazywać. Nagle usłyszała głośny dźwięk rozbitego szkła.

- Najmocniej panienkę przepraszam, nie chciałam panienki obudzić - mówiła drżącym głosem służąca.

- Nic się nie stało – odparła przecierając oczy - gdzie jestem? – zapytała z przerażeniem. Nie była już na plaży, a w niewielkim pokoju z dużym łóżkiem i równie wielkim oknem, przez który rozpościerał się widok na kwietną łąkę.

- A no tak... Jest panienka w posiadłości pana Roberta Grela w Cewicach.

- Jak się tu znalazłam? - zasypywała kolejnymi pytaniami.

- Pan Robert przywiózł panienkę wczoraj wieczorem.

- Muszę z nim porozmawiać – powiedziała Izabela wychodząc z pokoju.

- To był sen? - zapytała cicho samą siebie.

Złapała się za klatkę piersiową nerwowo czegoś szukając. Zdziwiło ją, a zarazem przestraszyło, że nie wisiał tam jej ulubiony, a także stanowiący rodzinną pamiątkę łańcuszek. W końcu dotarła do jadalni. Przy wielkim, dębowym stole siedział zamyślony mężczyzna.

- Gdzie jest mój łańcuszek? Co ja tu robię? Niczego nie pamiętam!– krzyknęła Izabela.
- Uspokój się i usiądź. Zaraz wszystko ci opowiem – odparł Robert – Wczoraj wieczorem wracałem z Oskowa, gdzie jadłem wiesz, we dworze u mojego brata. Wtem, w połowie drogi, ujrzałem przewrócony dyliżans pocztowy, a przy nim ciało martwego mężczyzny. Ciebie nieprzytomną znalazłem kilkadziesiąt metrów dalej. O łańcuszku nic nie wiem.
- To musiał być mój ojciec – zaszlochała – on jest pocztowcem. Nie, to niemożliwe – powiedziała i wybiegła na zewnątrz. Jej oczom ukazała się piękna, bukowa aleja, która doprowadziła ją do polany usianej stokrotkami. Usiadła na trawie i zaczęła sobie wszystko przypominać.
- Ojciec nie żyje... Razem z nami w dyliżansie jechał Świętopelk... Co się z nim stało? - pomyślała. Nagle nad jej głową zatrzepotały skrzydła. Gdy skierowała wzrok ku górze, zobaczyła przedziwnego stwora. Wyglądał jak orzeł w ciele lwa i przypominał wisiorek na jej łańcuszku.
- Świętopelk... Bukowina... Kościół... - powiedziało zwierzę, po czym odleciało w kierunku dworku. Myśląc, co oznaczają słowa dziwnego stworzenia, Izabela postanowiła wrócić do Roberta. Dopiero teraz zwróciła uwagę na budynek, w którym mieszkał. Dworek wyglądał bardzo dostojnie. Zbudowany był z cegły i wznosił się na kamiennym cokole. Zastała go w ogrodzie, siedzącego pośród róż.
- O... Jesteś... - powiedział Robert.
- Co to jest Bukowina? - przerwała mu dziewczyna.
- Bukowina to miejscowość, a także rzeka płynąca niedaleko stąd - odparł.
- Musimy tam pojechać - rzekła - Proszę!
- Dobrze, ale najpierw powiedz, jak masz na imię? - zapytał Robert.
- Izabela, a teraz jedźmy już. Muszę dowiedzieć się, co się stało z moim bratem. Przypomniłam sobie. On także jechał razem z nami - oznajmiła.
- Po co mamy jechać do Bukowiny?
- Czy jest tam kościół?
- Owszem - odpowiedział Robert - nadal nie wiem, po co tam jedziemy?
- Tam może być mój brat.
- Całą drogę do Bukowiny Izabela zastanawiała się, czy spotka tam Świętopelka. Po godzinie dotarli na miejsce. Ich oczom ukazał się piękny, stojący na wzgórzu kościół. Jego ściany były białe i poprzecinane drewnianymi belkami. Dach był drewniany, a na jego szczycie widniała okazała wieża z błyszczącym dzwonem. Otoczony był murem z ciosanego kamienia.
- To tu - powiedział Robert zatrzymując powóz przed kościołem.

Weszli do środka. Izabela oniemiała z wrażenia. Zobaczyła wspaniały obraz przedstawiający ukrzyżowanego Chrystusa. Uklękli przed ołtarzem. Nagle z zachrystii wyłoniła się postać księdza. Izabela podbiegła do niego i zapytała.

- Czy widział ksiądz mojego brata Świętopełka?

- Tak. Był u mnie niedawno – odparł ksiądz – opowiedział mi o zabójstwie waszego ojca.

Świętopełk sądzi, że ty również nie żyjesz.

- Co się z nim teraz dzieje? – rzekła zmartwiona Izabela.

- Spotkało go wielkie nieszczęście. Nikczemnik, który dopuścił się napaści na dyliżans, rzucił także klątwę na twojego brata – opowiadał spokojnie ksiądz.

- Jaką klątwę? – zaniepokoiła się dziewczyna.

- Zaklęcie rzucone na Świętopełka zaczęło działać za dwa dni. Wysłałem go na Karwickie Źródłiska po liście tabaki. Z niej muszę sporządzić antidotum, które cofnie zaklęcie. Jeżeli mu się to nie uda, zamieni się w dąb – wyjaśnił ksiądz.

- Muszę go odszukać i pomóc – powiedziała zrozpaczona Izabela.

- Wiem, gdzie są te źródłiska – oznajmił Robert – Mogę cię tam zawieźć.

Izabela i Robert pożegnali się z księdzem i pośpiesznie ruszyli. Po drodze mijali domy kryte strzechami, lasy, pola i jeziora. Dotarli w końcu do karczmy pod Maszewem. Postanowili, że spędzą tam noc, ponieważ zapadał zmrok, a konie były spragnione. W nocy obudziły ich dziwne dźwięki dochodzące z zewnątrz. Wyjrzeli przez okno i zobaczyli kilka osób kręcących się przy karczmie.

- Może to bandyci? - zasugerowała Iza.

- Możliwe - powiedział Robert uchylając drzwi, by sprawdzić co dzieje się na korytarzu. Lecz nie było tam nikogo. Nagle usłyszeli głośny huk. Był to strzał z pistoletu.

- Musimy uciekać - powiedziała Izabela, po czym otworzyła okno.

- Chcesz skakać? - spytał nerwowo Robert. Izabela kiwnęła tylko głową i skoczyła prosto na trawę. Nie było wysoko. Robert nie chciał wyjść na tchórza, więc również skoczył.

Postanowili schować się w pobliskim lesie. Gdy byli już w bezpiecznym miejscu, odwrócili się. Karczma stała w ogniu, a krzyki w jednej chwili ucichły.

- Wracamy do Cewic. To zaczyna robić się coraz bardziej niebezpieczne - oznajmił Robert.

- Idź! Ja nie mogę. Świętopełk mnie potrzebuje – powiedziała Izabela.

Robert wzruszył ramionami i ruszył w głąb lasu. Dziewczyna wiedziała, że nie może zawrócić, więc poszła dalej. Była już bardzo zmęczona. Zobaczyła w oddali małą stodołę i postanowiła tam odpocząć. Obudziły ją głośne dźwięki dochodzące z zewnątrz.

- Kim jesteś? - spytał zdziwiony chłop wchodzący do stodoły.
- Nazywam się Izabela. W nocy karczma, w której nocowałam spłonęła. Uciekłam stamtąd i znalazłam to miejsce.
- Chodź ze mną. Zaprowadzę cię do mojego pana. On ci pomoże - zaproponował chłop. Szli przez gęsty las. Po chwili dotarli do pięknego, drewnianego dworku.
- To dworek myśliwski, w którym mieszkam. Poczekamy tu na pana, który jest teraz na polowaniu - powiedział nieznajomy.
- Nie mogę tu długo zostać. Muszę iść szukać mojego brata - odpowiedziała Izabela. W tym momencie przyjechał właściciel dworu. Siedział dostojnie na karym koniu, a w lewej ręce trzymał dwa zające.
- Maćko, kim jest ta niewiasta? - zapytał. Chłop podbiegł do niego i zaczął mu wszystko tłumaczyć. Kiedy ich rozmowa ucichła, pan podszedł do Izabeli i powiedział.
- Wydaje mi się, że mogę ci pomóc. Byłem na polowaniu i niedaleko stąd widziałem młodego chłopaka. Szukał czegoś...
- Zaprowadź mnie tam.
- Szli wzdłuż szumiącej rzeki. Później skręcili w prawo i weszli na polanę.
- Tu go spotkałem - oznajmił. - Jednak nigdy wcześniej nie widziałem tego ogromnego dębu.

Izabela zaczęła płakać. Opowiedziała mężczyźnie o kłątwie. Pobiegła do drzewa i przytuliła się do niego. Wtem promienie słoneczne, które przedzierały się przez potężne gałęzie oślepiły dziewczynę. Odwracając od nich wzrok na jednej z gałęzi zobaczyła swój łańcuszek. Założyła go na szyję i mocno ścisnęła.

- Świętopelku, bracie! - krzyknęła Izabela.

13-15

Amelia***Legenda o kościele św. Mikołaja w Łebie***

Opowiem wam teraz legendę o ruinach kościoła św. Mikołaja w miejscowości Łeba, pochodzącą z wieku XIV.

Łeba była bardzo bogatym miasteczkiem, a władali nim królowie Adamkowicze: królowa Dobromiła, król Gniewomir wraz z księżniczką Albina, która wciąż poszukiwała swojego księcia. Ważne dla niej było to, aby to był ten jedyny, który będzie ją kochał i się o nią troszczył, żeby nie był z nią tylko ze względu na jej majątek i władzę.

Albina była to bardzo piękna, siedemnastoletnia dziewczyna. Wielu chłopców ubiegało się o nią, lecz jej żaden się nie podobał. Nastolatka zawsze się obawiała tego, co powie jej ojciec, który był z kolei bardzo oschłym i ostrym człowiekiem i rozkazuje robić to, co jemu się podoba. Królowa Dobromiła zaś była bardzo skromną i cichą osobą, ale zawsze stawiała w obronie córki.

Na skraju łebskiego lasu mieszkali czterej bracia - Masław, który był najstarszy, Mścibor, Mścigniew i Mikołaj, który był najmłodszy. Żyli z ojcem, który był drwalem, w drewnianej, niedużej chatce. Nie mieli dużo pieniędzy, często pomagali ojcu w jego pracy i było to ich jedyne źródło utrzymania.

Pewnego razu bracia udali się na bazar, a tam zobaczyli piękną dziewczynę o jasnych włosach, była nią księżniczka. Ku ich zdziwieniu spotkali ją właśnie na bazarze.

Albina podobała się każdemu z chłopców, ale wiedzieli o tym, że poszukuje ona księcia. Mimo to podbiegli do niej, ukłonili się i zapytali chórem, czy w czymś jej pomóc, na co ona odpowiedziała:

- Nie, dziękuję bardzo za troskę, ale teraz musicie już odejść, bo mój ojciec jest w pobliżu.

- Ale piękna pani, co pani robi na bazarze? - zapytał Masław.

- Niedługo matka moja ma urodziny, zawsze kupuję jej prezent na bazarze, są tu piękne i oryginalne rzeczy, ale dzisiaj nie mogę nic znaleźć. - odpowiedziała.

- My pani coś znajdziemy. A proszę powiedzieć, czy znalazła już wasza wysokość księcia? - zapytał ponownie pewny siebie Masław.

- Nie, nie... Jeszcze nie znalazłam. Dobrze, a teraz odejdę do mojego ojca, może on coś znalazł. Żegnajcie - księżniczka odeszła, a chłopcy się ukłonili.

- Zobaczycie jeszcze, to ja zostanę księciem! Widzieli wy, jak się na mnie patrzyła? Przecież to jest jasne! - wykrzyczał Masław, a bracia podśmiewali się z niego pod nosem.

Kiedy księżniczka dojechała do zamku, niespodziewanie pobięła do swojej mamy i krzyknęła:

- Matko! matko! Znalazłam go! Swojego księcia! - i opowiedziała jej o czterech braciach, których spotkała na bazarze i uznała, że któryś z nich zostanie jej księciem.

Lecz nie знаła nawet ich imion i nie wiedziała, gdzie mieszkają, więc następnego dnia udała się na ten sam bazar z nadzieją, że ich spotka.

Wydaje mi się, że bracia przyjechali tam też z nadzieją, że ją zobaczą.

- Och, ma pani! Jaki to przypadek, że znów się widzimy - zawołał Masław.

- Nie, nie, to nie przypadek. Mam dla was propozycję. Jeśli się zgodzicie, to jeden z was zostanie moim księciem. Lecz nie będzie to takie łatwe. Będę miała dla was kilka zadań, które będziecie musieli wykonać i tego, który najbardziej mi się spodoba, poślubię i wejdzie do rodziny Adamkowiczów. Macie dobę na zastanawianie się nad tym. Ci, którzy się zgodzą, niech przybędą pod mój zamek o ósmej rano - powiedziała Albina, po czym odeszła, a bracia stali jak wryci i nie wiedzieli, co powiedzieć. Stali jak zaczarowani, a potem zaczęli się kłócić, którego wybierze.

Przed siódmą bracia ruszyli do zamku, aby dotrzeć na ósmą.

Zgodnie z obietnicą Albina wyszła z zamku, przywitała się z nimi i powiedziała, że pojadą z nią na bazar. Pojechali karetą.

Na bazarze księżna ogłosiła, że pierwsze zadanie, które pomoże jej w wybraniu jednego z braci, to będzie kupienie najlepszego prezentu dla jej matki. Każdemu dała złote monety i powiedziała, że cena nie ma znaczenia, mogą wydać wszystko, ważne było to, aby prezent się spodobał jej matce.

Wyzaczyła spotkanie za godzinę, a sama w tym czasie wybrała sobie sporo rzeczy.

Bracia pojawili się z zakupionymi rzeczami. Masław pokazał żółtą, długą suknię z falbankami na rękawach, na co Albina odpowiedziała:

- Nie, nie! Matka moja nie cierpi żółtego koloru i falban. To nie jest dobry prezent.

Masław odszedł z opuszczoną głową, a następnie Mścibor pokazał swój zakup, czyli drewnianą łyżkę do gotowania, a księżna powiedziała:

- Nie byłaby z tego w żadnym stopniu zadowolona! Do gotowania są kucharze, więc królowej nie byłaby przydatna.

Z kolei Mścigniew pokazał złotą chustę na szyję, która miała wzór srebrnych kwadratów, a księżniczka powiedziała:

- Bardzo ładna, Mścigniewie, aczkolwiek matka moja nie nosi chust, więc się jej nie przyda.

Na końcu podszedł do niej najmłodszy i najskromniejszy z braci, Mikołaj. Podał jej do rąk złotą pozytywkę z koniem na biegunach na czubku. Albina uśmiechnęła się. Nakręciła delikatnie pozytywkę, a potem posłuchała jej melodii. Bracia zauważyli łzę spływającą po jej policzku.

- Droga pani, czy w jakiś sposób panią uraziłem - spytał zaniepokojony Mikołaj.

- Nie, Mikołaju. Wręcz przeciwnie. Jest to kołysanka, którą moja matka miała zwyczaj mi śpiewać, dopóki nie skończyłam czterech lat. - powiedziała ze szczerym uśmiechem na twarzy.

- Ten prezent jest idealny! Królowa ma kolekcję pozytywek i do tego ta melodia... kolor również jest piękny. Dziękuję. - powiedziała Albina po czym schowała pozytywkę, a Mikołaj był bardzo szczęśliwy.

Przed rozejściem się, Albina poinformowała braci, że jutro również mają przyjść pod zamek.

Nazajutrz, gdy bracia przybyli, księżna zaprosiła ich do środka i ogłosiła im drugie zadanie. Obok w pokoju była kobieta, która przywiozła suknie dla Albiny na urodziny jej matki, lecz księżna jeszcze ich nie widziała i chciała, żeby każdy z braci wybrał jedną, która, według niego, będzie najlepiej do niej pasować.

Masław wybrał czerwoną suknię z czarnymi rękawami, lecz księżna powiedziała, że nie czuje się swobodnie w czerwonej sukni i ojcu nie podoba się ten kolor, więc odmówiła.

Mścibor uznał za dobry wybór bardzo długą, zieloną suknię, która miała bardzo dużo falban, ale Albina uważała, że tych falban jest o wiele za dużo i nie będzie w niej dobrze wyglądała, chociaż kolor jej się podobał.

Mścigniew wybrał czarną, sutą suknię wraz z fioletowym bolerkiem, ale jej się ona całkowicie nie spodobała, bo uważała, że czarny kolor jest ponury i mroczny.

Nadszedł czas na Mikołaja, który przedstawił skromną, lekko różową sukienkę. Księżniczka wybrała tę, gdyż uważała, że w jasnym kolorze będzie wyglądała najpiękniej.

Zadowolona Albina ogłosiła im od razu ostatnie zadanie, którym było wybudowanie kościoła, w którym weźmie ślub ze swoim wybrankiem. Kazała zakończyć pracę za miesiąc.

Bracia byli niezadowoleni z krótkiego czasu, bo musieli zaniedbywać swoje obowiązki i rzadziej pomagali ojcu, ale bardzo zależało im na tym, żeby wypełnić rozkaz Albiny.

Księżniczka czekała na efekty ich pracy, chociaż, jak się domyślacie, jej serce już wybrało...

Masław wybudował bardzo duży kościół z kamienia, ale Albinie nie podobał się, gdyż uważała, że świadczy o pysze i chęci wywyższenia się budowniczego. Mścibor zbudował średnią kaplicę, co bardzo się nie spodobało księżniczce, bo nie takie wyznaczyła zadanie i uznała, że budowniczy jest samowolny.

Spodobał jej się za to kościół Mścigniewa, który był z gliny, ale uważała, że nie zmieści się w nim dużo ludzi.

Mikołaj zbudował średni kościół z jasnych i ciemnych czerwonych cegieł, a Albina była nim zachwycona i pomyślała sobie, że jest idealny.

Bracia czekali na decyzję Albiny, lecz ona powiedziała, że nie może jeszcze jej zdradzić, gdyż jedną z najważniejszych rzeczy jest zdanie rodziców, którzy

powiedzieli, żeby przybyli nazajutrz na wieczerzę w zamku. Król i królowa porozmawiają z każdym z nich z osobna.

Tym razem wysłano po nich karete.

Kolacja mijała, a decyzja wciąż nie zapadła. Księżniczka bardzo liczyła się ze zdaniem rodziców, a ci wybrali Mikołaja, gdyż on jeden nie okazał się samolubem i powiedział, że gdyby został mężem księżniczki, to nadal chciałby pracować z braćmi i ojcem. Księżniczka była bardzo zadowolona, bo od dawna już myślała, że Mikołaj, to ten jedyny.

Król Gniewomir ogłosił zaręczyny Albiny i Mikołaja.

Mikołaj był bardzo szczęśliwy. Podszedł do księżniczki i pocałował jej dłoń.

Bracia byli trochę zazdrośni, lecz bardzo się cieszyli ze szczęścia brata.

Miesiąc później, księżna Albina i już książę Mikołaj pobrali się. Na ślubie było bardzo wiele osób, które potem zaproszono na bal do zamku. Wszyscy się świetnie bawili, a Albina z Mikołajem żyli długo i szczęśliwie

No tak, ale wracajmy do tytułu tej opowieści... Do kościoła zbudowanego przez Mikołaja chodziło wielu wiernych i były w nim nadal udzielane śluby. Patronem Kościoła został święty Mikołaj, na pamiątkę młodego budowniczego.

Mijały lata i kościół ulegał zniszczeniu, ale mimo to do dzisiaj można w Łebie zobaczyć jego ruiny, i myślę, że warto o tym wiedzieć.



13-15

Podróż w czasie w pradolinie pięknej rzeki Łeby

Dawno, dawno temu, w pradolinie pięknej rzeki Łeby, otoczonej zewsząd wzgórzami i lasami, powstała osada. Żyli w niej ludzie mądrzy, życzliwi i pracowici. Nikomu nie sprawiano tam przykrości, nikomu nie wyrządzano krzywdy. Z biegiem czasu przekształciła się ona w miasto Łębork. Wszystko toczyło się tutaj swoim spokojnym torem. Pewnego dnia coś się zmieniło, ale łęborschanie nie wiedzieli wówczas, że nadejdą dla nich dziwne czasy. Mijały lata, wieki, aż któregoś dnia ktoś przesunął teraźniejszość w przyszłość, i to o 100 lat.

A było to tak...

Okolo roku 2119 miasto opanowały roboty o ludzkich rozmiarach. Wyglądem przypominały człowieka, ale to tylko pozory. Nie miały nosa, ust, uszu, ani włosów. Były w kolorach niebieskich, czarnych, czasami zielonych. Oczy lśniły błękitnym światłem. W miejscu ludzkiego serca znajdował się akumulator żelowy z miedzianymi przewodami. Roboty powstały z wyjątkowego metalu. Wyróżniały się niezwykłą wodoodpornością, siłą i wytrzymałością. Poruszały się jak ludzie, czyli na dwóch nogach. W sklepach i bankach Łęborka pojawiły się roboty, które obsługiwały klientów. Nie znały jednak ludzkich uczuć ani wzruszeń.

Na ulicach można było zobaczyć tylko ludzi chodzących z tabletami i telefonami komórkowymi najnowszej generacji. Dzieci nie znały już zabaw podwórkowych, bo ich jedyną rozrywką stały się gry komputerowe. Spędzały też dużo czasu ze swoim robotem, który zastępował im kolegów czy przyjaciół. W domach rodzinnych każdy żył oddzielnie, w swoim wirtualnym świecie.

Wydawało się, że niedługo nie będzie wiadomo, jak odróżnić człowieka od robota.

Średniowieczne budynki Lęborka pozostały bez zmian. Wyglądały jakoś dziwnie wśród tej multimedialnej przestrzeni. Historie baszty bluszczowej, fontanny z żabkami, kościoła św. Jakuba czy zamku krzyżackiego pamiętali jeszcze najstarsi mieszkańcy, ale nikt już o tym nie wspominał. Nie miało to już dla nikogo znaczenia. Pojawiły się nawet głosy, że należy pozbyć się tych budowli, a w ich miejsce wybudować nowe budynki jako centrum dowodzenia.

I wtedy nagle zaczęły dziać się tajemnicze rzeczy wokół zamku krzyżackiego, wybudowanego przez Krzyżaków w Lęborku w połowie XIV wieku. Była to budowla w stylu gotyckim na planie prostokąta, ale bez dziedzińca. Charakterystyczne elementy tego zamku stanowiły gotyckie schodkowe szczyty, w północnej części kwadratowa klatka schodowa w kształcie wieży, a w ścianie południowej zarysy ostrołukowych okien. Zamek i jego okolica, za sprawą zapewne pomyłki jednego z robotów obsługujących wejście do tego średniowiecznego budynku, przeniosły to miejsce do czasów dawnej świetności. Przyglądał się temu jeden z robotów, który wyglądał zupełnie inaczej niż pozostałe. Otóż na jego blaszanej twarzy często pojawiał się zyczliwy uśmiech, a oczy emanowały zieloną błękitnością. Opowiedział to, co ujrzał.

Znów w zamku zamieszkał wójt krzyżacki Reinhard von Hassenbacher. Reinhard von Hassenbacher. Okazał się bardzo dobrym urzędnikiem. Dbał o mieszkańców Lęborka, wspierał w trudnościach, wyróżniała go wyjątkowa uczciwość i sprawiedliwość. Bardzo polubił lęborczan ze względu na ich pracowitość i mądrość. Lęborczenie zaś szanowali swojego wójta. Niestety nie trwało to długo. Zamek coraz częściej nawiedzał pewien rycerz krzyżacki na białym koniu, Hansen Freudenberg. Reinhard słyszał też z gościnnosci, tak więc zapraszał do siebie na zamek nie tylko mieszkańców, ale też nieznanomych przybyszy. Nie zdawał sobie sprawy, że bogata wówczas osada może stać się kuszącą krainą dla innych Krzyżaków.

Nastała ponura jesień. Wiatr hulał, obfite deszcze zalewały osadę lęborczan, słońce już dawno zapomniało, aby swoimi promieniami rozświetlić ziemię. Ciemność i zimno sprawiały, że ludzie najczęściej pozostawali w swoich chatkach. Na to czekał tylko ów tajemniczy Krzyżak. Którejś nocy znów przybył na swym białym koniu pod bramy zamku Reinhard von Hassenbacher przyjął

go z wielką uprzejmością. Ranek zaskoczył wszystkich. Oto służba zamku przekazała straszną wiadomość: wójt Reinhard von Hassenbacher nie żyje... Do dziś nie rozwiązano zagadki nagłej śmierci. Niektórzy powiadali, że miał słabe serce, inni, że był to spisek uknuty przez tajemniczego przybysza na białym koniu, Hansen Freudenberg.

Mieszkańcy długo opłakiwali Reinharda von Hassenbacher, ale miasto nie mogło funkcjonować bez wójta. Nowym wójtem został wybrany Hansen Freudenberg, ów tajemniczy Krzyżak na białym koniu. I oczywiście wszystko się zmieniło. Hansen Freudenberg zniósł dotychczasowe przywileje i zagroził wypędzeniem tych mieszczan, którzy nie godzili się na nowe porządki. W mieście zaczęły dziać się okropne rzeczy. Nowy wójt okazał się szaleńcem. Ci, którzy próbowali zwrócić uwagę na niesprawiedliwe rządy, złe decyzje, ginęli w tajemniczych okolicznościach w piwnicach zamku. Mówiono, że Hansen Freudenberg ma niewinną krew łęborczan na rękach. Powiadali też, że wójt Gotfryd gromadził bogactwa z potu i krwi okolicznego ludu. Narożną komnatę w piwnicach zamku kazał zaś zamienić na męczarnię i tam osobiście nadzorował torturowanie opornych mieszczan. Jęki poddanych sprawiały mu przyjemność. Ludzie bali się wychodzić z domów, rozmawiać na ulicach. Strach i lęk zapanowały na dobre. Zmienił się wystrój wewnątrz zamku. Wszędzie pojawiły się mrok i ciemność, ubrane w czarne i szare barwy.

I tak mijały lata. Nikt nie mógł nic poradzić na szerzące się zło, ale łęborczanie wierzyli, że to wreszcie się zmieni. Pewnego dnia około południa z zamku nadeszły wieści, że wójt ciężko zachorował. O północy Hansen Freudenberg zmarł. Nagle opadły ze ścian komnat zamkowych czarne materiały. Łęborczanie odetchnęli z ulgą. Pomału wszystko wracało do normy. Słychać było wesołe rozmowy, śmiech. Mieszkańcy znów zaczęli sobie ufać... Bali się tylko jednego- przechodzić obok zamku.

Robot zwrócił uwagę na to, że starsi powiadali, iż w nocy zamek stawał się widownią dziwnych wydarzeń, których bohaterem był ogromny, biały koń, znacznie większy od zwykłych koni. Koń ten ciągnął za sobą długi na 5 metrów, żelazny łańcuch. Nie wyglądał jak zwykłe zwierzę, lecz upiór. Powiadano też, że to zły wójt cierpi tak jak wszyscy torturowani przez niego mieszkańcy. I tak upiór pokazywał się na zamku przez kilkadziesiąt lat. Jednak od jakiegoś czasu nikt go już nie widział... Być może dlatego, że w zamku znajdował się sąd...

Zielono- błękitny robot bardzo przejął się tą historią zamku i lęborczan, mimo że roboty nie znały ludzkich wzruszeń. Jako jedyny z ówczesnych robotów zwrócił też uwagę na to, iż tajemnicze rzeczy zaczęły się dziać wokół baszty, niedaleko kościoła św. Jakuba.

Nikt nie wiedział, w jakim celu miała powstać baszta. Mieszkańcy długo zastanawiali się, jaki powinna mieć kształt ta tajemnicza budowla.

Wreszcie, po wielu dyskusjach, zbudowano piękną, wysoką basztę zwieńczoną spiczastym dachem z kulą u szczytu. Sylwetka baszty była dosyć nietypowa dla tego rodzaju budowli, ponieważ jej podstawa miała kształt czworoboku, a u góry przechodziła w kształt ośmioboczny. Na elewacji baszty widniał wzór utworzony dzięki zastosowaniu przy budowie ciemniejszych cegieł, zwanych później zendrówkami. Jej umiejscowienie przy kościele św. Jakuba i właściwie w centrum miasteczka sprawiło, że wielu ludzi (nie tylko mieszkańców, ale też przybyszów z innych zakątków kraju) przybywało pod basztę, aby ją podziwiać, ale też dyskutować, po co ją wybudowano. Nikt, oprócz straży i wójta, nie mógł wejść do środka. Dlaczego??? Nie wiadomo.

Pewnego dnia ktoś wysłał do baszty zaufanego wojownika o nadprzyrodzonych umiejętnościach o imieniu Jan. Okazało się, że w baszcie istniał pod podłogą tajemniczy pokój. Niełatwo było znaleźć wejście do tej małej komnaty, ale sprytny Jan zawsze wykonywał swoją pracę doskonale. W odkrytym miejscu było mnóstwo złota, biżuterii, broni i zbroi rycerskich. Nieznana osoba postanowiła odkryć tajemnicę niesamowitej baszty. Tą osobą okazał się być stary pruski dziad o imieniu Johenn.

Jan teraz wiedział, dlaczego tak bardzo strzeżono tej budowli. Bał się jednak opowiedzieć o swoim odkryciu. Wiadomość o tym mogłaby doprowadzić do wielu kłótni lub bitew, a nawet dramatycznego rozlewu krwi między mieszkańcami. Wracał z postanowieniem, że nie wyjawia tajemnicy baszty, nawet temu, który zlecił mu zadanie.

Wokół było cicho. Ciemność zalewała całe miasteczko. Groźba nocy potęgowała strach. Niebo było zachmurzone, wydawało się czarniejsze niż zwykle. Nagle tę straszną przestrzeń rozjaśniła błyskawica. Rozległ się taki huk, jakby zadrżała ziemia. I wtedy Jan zobaczył przed sobą grupę zbójców. Jeden z

nich rzucił się na niego, szarpał jego ubranie, szydził z niego, a w pewnym momencie przystawił mu do gardła sztylet. To trwało krótką chwilę. Jan wiedział, że jedynym dla niego ratunkiem jest podzielenie się z nimi wiadomością o skarbie.

- Stójcie! Nie róbcie mi krzywdy, a powiem wam jak łatwo można się wzbogacić! - krzyknął Jan ostatkiem sił.

Zbójcy ucichli. Naradzili się. Wtem jeden z nich powiedział:

- Dobrze. O co ci chodzi?

- Opowiem wam o skarbie.

- O jakim skarbie?! - z szyderczym śmiechem zawołali zbójcy.

- O złocie, biżuterii, broni i zbrojach rycerskich ukrytych w baszcie - odpowiedział wojownik.

- Prowadź! - rzekł zbójca.

- Opowiem wam jak tam dotrzeć. To bardzo blisko. Poza tym do środka może wejść w wielkiej tajemnicy tylko jedna osoba.

Jan nie był pewien, że zbójcy go posłuchają. Opowiedział im wszystko o baszcie, o drodze do skarbu i przestrzegał przed innymi mieszkańcami. Dopiero wtedy w przywódcy zbójców ujrzał pruskiego dziada o imieniu Johenn, który był znany w okolicy ze swojego okrucieństwa. Zbójcy tak bardzo się spieszyli do tajemniczej baszty, że zapomnieli o biednym, wystraszonej Janie. Mógł wreszcie opuścić miasto Lębork i wyruszyć dalej.

Zbójcom nie udało się wejść do środka baszty. W końcu zrezygnowali, opuścili Lębork. Jednak dziad był nieugięty. Wiele razy krążył wokół baszty, próbował podejść do drzwi, ale zawsze było zbyt wielu strażników. Poza tym pojawiła się jeszcze jedna przeszkoda. Basztę zaczął nagle obrastać gęsty bluszcz, który utrudniał widoczność i jakby dodatkowo ją przed czymś chronił.

- To niesamowite! - powiadali mieszkańcy, nic nie wiedząc o ukrytym skarbie i zamysle pruskiego dziada.

- Muszę tam wejść! Muszę zdobyć ten skarb! - krzyczał w myślach Johenn.

Wreszcie udało mu się przechytryć straż nocną. Wszedł do środka pięknej, tajemniczej, obrośniętej bluszczem baszty. Po raz pierwszy w życiu poczuł się niepewnie. To miejsce miało w sobie jakąś magiczną, niewytłumaczalną moc. Jan dokładnie mu powiedział, jak znaleźć wejście do ukrytego pokoju. Czas mijał nieubłaganie. W końcu, po wielu próbach odnalazł to, czego szukał. Pośród broni, zbroi rycerskich mieniły się, błyszczały złoto oraz drogocenna biżuteria.

Nagle coś trzasnęło na progu pokoju. Była to jedna z belek podtrzymujących sufit. Po niej zaczęły pękać kolejne deski, aż w końcu cały sufit się zapadł. Zginął okrutny pruski dziad o imieniu Johenn. Zniknął tajemniczy, bogaty pokój w baszcie. Strażnicy baszty poczuli niepokojące, magicznie zimne, mroźne powietrze wydobywające się z ziemi wokół baszty. Następnego dnia opadł bluszcz, co wzbudziło ogromne zdziwienie mieszkańców Lęborka.

Lębork został podzielony na dwie strefy: średniowieczną i nowoczesną. Walczyły ze sobą: z jednej strony duchy i upiory przeszłości, a z drugiej roboty i nowoczesna technologia. Wreszcie ustalono, że mieszkańcy Lęborka muszą wybudować jakąś niezwykłą budowlę. Wybudowano pięć domów w kształcie kwadratów. Miały w sobie wszystkie najnowsze technologie. Były w pięknych kolorach, podświetlane jaskrawymi światłami. Jednak czegoś w nich brakowało. W końcu jeden z robotów, pracujących w banku przy kościele św. Jakuba wymyślił, że powinien powstać dom marzeń. I tak też się stało.

Na środku placu Pokoju stworzono wielki budynek z ogromnymi oknami. Wchodziło się do niego przez drewniane, pięknie rzeźbione drzwi. Na parterze był pokój wyposażony w najnowszą technologię komputerową oraz pomieszczenie z mnóstwem kreatywnych zabawek. Kuchnię, oprócz naczyń porcelanowych z dawnych czasów, zaopatrzone w najnowszy sprzęt AGD. Jeden z pokoi był niesamowity, ponieważ posiadał to, o czym się marzy. Za domem był wspaniały ogród pełen tajemnic, niczym z książki pod tytułem „Tajemniczy ogród”. Najbardziej ten dom wyróżniał się jednak tym, że był wypełniony miłością.

Lęborcianie zaczęli odwiedzać dom marzeń i nagle sobie przypomnieli, jak wspaniale jest spędzać czas z drugim człowiekiem, jaką wartością może być rodzina. Na podwórkach pojawił się wesoły gwar dzieci, które odkryły na nowo radość wspólnej zabawy z przyjaciółmi. Nie przeszkadzała im nowoczesna technika, ani też średniowieczne zabytki Lęborka. Przypomnieli sobie historię

najważniejszych średniowiecznych budynków i wiedzieli, że muszą o nie zadbać, bo każdy z nich kryje w sobie niezwykłą legendę.

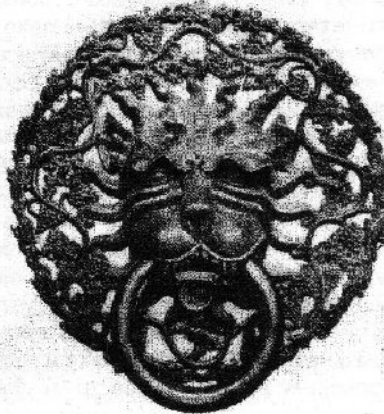
Miasto Lębork w 2119 roku stało się miejscem nowoczesnym, otulonym przeszłością. Przybywali tu turyści nie tylko z innych krajów, kontynentów, ale też z innych galaktyk. Najpopularniejszymi budynkami Lęborka stały się: zamek krzyżacki, baszta bluszczowa i dom marzeń...

I znów nieoczekiwanie ktoś cofnął czas. W Lęborku nastał rok 2019...

16-DOROSLI

Godło: Urszula

Deus protector meus – legenda o szlachetnej Margarecie z Łeby



Źródło obrazka: https://pl.wikipedia.org/wiki/Herb_Urszula

Domena publiczna

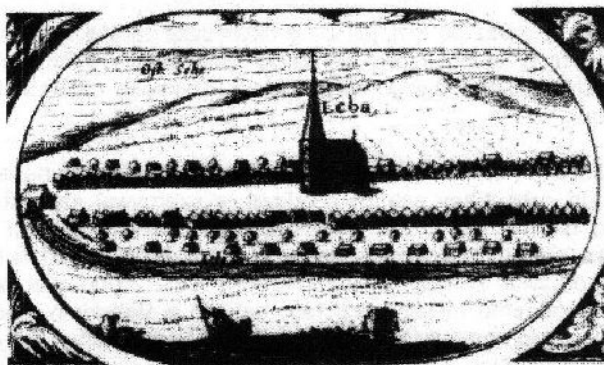
Było to zaraz po tym, jak Łebę nawiedziła zaraza, gdzieś koło roku pańskiego 1781. Jeszcze burmistrzem nie został szanowany Wilke, a nowęcińskie dobra dopiero co znalazły nowego właściciela – wielmożę chabrowskiego, Heinricha von Somnitza.

Nie były to, oj nie były, lata mlekiem i miodem płynące dla tutejszych ludzi morza. Co rusz nowy sztorm dotkliwie wyszarpywał kawałki wrażliwego brzegu, niszcząc nielitościwie to, co ludziska tak z wielkim trudem wybudować zdołali. Olbrzymie siły i moc talarów wydając, w ciągu dwóch lat zdołali własnym sumptem i harówką od świtu do nocy wykopać szeroki kanał, co to miał dać początek nowemu szlakowi wodnemu między Jeziorem Łebsko a Bałtykiem. Jednakże bezwzględna przyroda rychło zniszczyła wodny przekop, tak że zrozpaczonim mieszkańcom nie pozostało nic innego, jak zasypać już całkiem zrujnowaną budowlę.

Do tego jeszcze nadciągnęło morowe powietrze, które mimo błagalnych modłów przez łebian wznoszonych, co od powietrza, głodu, ognia i wojny miały ich ochronić – zbierało swe śmiertelne żniwo. Nie brakło wśród pobożniejszych, na czele z pastorem, głosów – że to kara boża za nieczne postęпки niedawnych wszakże przodków łebian, co to bez pardonu, goniąc za własnym zyskiem i słuchając podszeptu chciwości, grabili rozbite na sztrądzie okręty, bogacąc się na biedzie rozbitków. Miałaby też to być kara Bożej Opatrzności także i za mnogość zabobonów zakrapianych gorzałką, które z dawien dawna krzewiły się wśród tubylców, o czym ze wstydem jeszcze parę lat temu donosił kościelnym zwierzchnikom świętej pamięci dawny łebski pastor Scheer? Tego wykluczyć się nie dało.

Ludziskom niemiło było zatem uśmiechać się do siebie, raczej trwożliwie spoglądali dookoła, uciekając w panice przed morowym powietrzem. Mało kto bowiem spośród mieszkańców nie stracił kogo bliskiego lubo sam zachorzał, ledwo się od kostuchy uwalniając. Chałupy szczelnie zamykano, okiennice na amen zagwożdżono z obawy przed wszędobylskim pomorem. Nierzadko – bywało – znajdziesz na bruku leżące ciało, które trza jednak rychło pochować, nim zaraza zbierze większe żniwo. Chcąc nie chcąc, najwięcej roboty mieli w tym czasie grabarze i miejscowy pastor, któremu należało za pochówek dać trzy złote talary, co kwotą było niemałą dla wielu spośród łebian. Wszędy słyhać było tylko bicie dzwonów i smętne pomruki zawodowych płaczek przykościelnych, które z zapamiętaniem wołały memento mori. Łebianie nie skąpili jednakże grosza na uczciwy pogrzeb najbliższych, goriwie dochowując wszelkich sakramentów i przypisanych podówczas obyczajów. Snadź wiadomo było powszechnie, że jeśli nie przygotujesz czлека do wędrówki niebieskiej, nie dopatrzysz przyśmiertnych nakazów, nie obleczesz go w zgrzebną szatę ani nieboszczykowi pajdy chleba, ni miejscowej okowity do skrzynki trumiennej nie włożysz, a modlitwą szczerą wieczystą nie pobłogosławisz w ostatniej godzinie jego na ziemskim padole, toć ostanie ci on na wieczystej drodze tułacz między światy, jak na rozstaju dróg zagubiony, gdzie źle mieszka. A taki spokoju w rajskim wirydarzu ni zbawienia duszy zaznać nie ma prawa.

Czuwano zatem goriwie przy swoich zmarłych, grosza nie skąpiono, mimo narastającej wśród łebian niedoli. Widno widziano zaś, że jutro - pojutrzeć spotkać taki sam los ich samych wszak może.



Łeba na rycinie Lubinusa z 1618 roku

Źródło obrazka: <https://historialeby.pl/leba-nowym-miejscu.html>

Margareta niepewnym wzrokiem obrzuciła ciemniejące zaułki wąskich uliczek, ciągnących się wzdłuż morskiego brzegu. Musiała rychło znaleźć się na południowych rogatkach miasteczka, zanim słońce całkiem ugasi swoje promienie, ustępując miejsca listopadowemu mrokowi. Obiecana przez miejscowego balwierza mikstura, którą miał przygotować na dziś wieczór za trzy ostatnie złote talary, które Margareta wyskrobała glinianego garnca w piwnicy, nie chroniła co prawda przed zarazą, ale dawała ulgę schorzałemu ojcu, który nie zstępował z łóżka już od dwóch niedziel. Siódmy krzyżyk miał już na karku, a siła ubywało i jak małego oseska trza go było dokarmiać już to mlekiem z miodem, już to maczanym chlebem. Dziewczyna z

trwogą wyglądała następnych dni choroby. Bieda zagościła na dobre w małej izdebce, którą dzieliła po śmierci matki od kiedy osiemnastą wiosnę skończyła z dobrym ojcem, aż z nagłą z nóg nieznaną chorobą zwalony na połów nie mógł już sam wypływać.

Postanowiła więc, że zamówi drogie lekarstwo u łebskiego balwierza, który nie tylko urządzał regularne postrzyżyny miejscowym chłopom, ale i pijawki umiał snadnie przykładać i od uroku znał ochronne zaklęcia. Zatem – choć za usługi cyruliczne kazał sobie – jako jedyny z tego cechu w miasteczku – wielce słono płacić, cieszył się wśród łebian niezwykłą estymą.

Szła tedy drobna dziewczyna, opatulona zgrzebną chuścina, co nijak nie chroniła przed łebskim wietrzyskiem. Trwożnie rozglądała się pośród opustoszałych zakątków Łeby, a droga czekała ją długa. Musiała przejść głównym traktem aż do pierwszego rozstaju dróg na Nowęcín, gdzie od wieków stał pręgierz dla wszelkiej maści tych, co już to srogie nakazy brandenburskie mieli za nic, już to na niewierności małżeńskiej zostali przydybani, już to zwyczajnie podatków nie mieli z czego lub nie chcieli opłacać.

Powszechnie wiadomym było - na każdym rozstaju, a już na takim, co ku cmentarzowi prowadzi, to rzecz pewna, że złe mieszka i aby go uniknąć, należy uzbroić się w modlitwy oduroczne i diabłu nieczystemu przeciwdziałające.

Nijak nie można było tegoż skrzyżowania ominąć, chcąc dostać się do zasobnej chaty balwierza, więc szła tedy dziewczyna z duszą na ramieniu, powtarzając sobie w duchu zdrowaśki. Żywej duszy na łebskim bruku nie dostrzegła, tylko cienie małych chat rybackich, gdzieś tam poprzetykanych już to piekarnią z piecem chlebowym, już to zakładem szewskim czy domem skutnika. Tylko pies jakowyś skądś naszczekiwał, to znów robiło się upiornie cicho, co niechybnie oznaką było, którą jeszcze jej prababka dawno temu powiedziała, że gdzieś wtedy blisko jakowaś dusza ludzka odejdzie w zaświaty.



Zdjęcie fot.: <http://www.oplikan.uszupala.pl/web/guest/photo/378978.html>

Autor fot.: zbyszko160krajcowski

Mijając solidny dom z wyraźną datą u góry nad oknami, przeczytała, z trudem sylabizując: "Bóg jest moim obrońcą i wspomożycielem. Panie, nie opuszczę Cię, Ty mnie przecież błogosławisz. Johann Mampe" - 18 lipca 1723.

Przeżegnała się, szepcząc nabożnie:

-I mnie, Panie, biedną wspomóż w niedoli. Pobłogosław memu tatusiowi, by rychle wyzdrowiał.

Zaraz za domem konsula Mampego na Hauptstrasse dostrzegła zbiegowisko.

-Kie lichó? – pomyślała zdziwiona, zapominając na chwilę o strachu.

Odkąd Łebę nawiedziła zaraza, po zmroku rzadko który z mieszczan opuszczał domostwo, czekając na pierwsze promienie słońca wśród bliskich, aż ziemia znów przyjazną się stanie, gdy noc końca swego dobiegnie.

Na przekór temu zwyczajowi oczom jej ukazała się ciżba ludzka, która wśród pochodni szumiała jak w ulu. Już z daleka słychać było gniewne pokrzykiwania.

-Do piachu z nim!

-Wynieśmy go z granic miasta!

-Sam sobie go wynoś, jeśli Ci życie nie mile!

-Ktoś go zna?!

-Nie nasz jest jakiś, ja mu pochówku opłacać nie będę!

-Rada miejska opłaca tylko tutejszych!

Rozgorączkowany tłum otoczył ciało nieboszczyka, który leżał na bruku oświetlony ogniem pochodni. Nikt jednak z zebranych z obawy przed morowym powietrzem nie miał ochoty zbliżyć się doń, by go podnieść na przygotowany dwukołowy wóz ciągnięty zazwyczaj przez dwóch strażników miejskich. Ci, widząc, nie kwapili się do podniesienia, czekając na rozkazy członków rady. Ciało zasłonięto białą płachtą.

-Chrześcijański pochówek kosztuje trzy złote talary - starał się wytłumaczyć zebranym jeden z rajców.

-To sam go opłać. My podatki płacimy tylko na naszych, a ten jest obcy.

-Prawda! Obcy jest! Pewnie wcale nie krześcianin.

-Po zarazie kasa miejska jest pusta, musimy najpierw zrobić dodatkową zbiórkę po mszy niedzielnej, wtedy urządzi się mu pogrzeb – rajca nie dawał za wygraną.

-Na moje talary nie liczcie. Za granicę miasta z obcymi!

-Już 10 pogrzebów w ostatnich dwóch tygodniach było. Ledwo nastarczamy swoich chować.

-Do niedzieli z pochówkiem czekać, aż się pomór rozniesie? Niedoczekanie!

Rajcy stali bezradnie. Nagle wśród tłumu pojawiła się Margareta. Nic nie mówiąc, wręczyła rajcom trzy złote talary, ostatnie, które miała na lekarstwo dla ojca.

W ciżbie zapadł dziwny spokój, osłupiali patrzyli na dziewczynę, jak zbliża się do płachty z nieboszczykiem, czyni mu znak krzyża na czole i błogosławi w modlitwie za zmarłych.

Wstyd się zrobiło łebianom. Bunt ucichł, jakby go kto mieczem uciął o listopadowym zmroku. Znali przecież ojca Margarety, wiedzieli, jak ciężko jest dziewczynie i że znikąd nie ma ona pomocy.

Zdjęli czapki, pochylili głowy i zgodnym chórem wzniesli szczerze modły za zmarłego, a potem wraz ze strażnikami i rajcami skierowali się w stronę kaplicy, aby w towarzystwie pastora pochować zmarłego na miejskim cmentarzu.

-Cóż ja teraz pocznę? – myślała tymczasem dziewczyna. – Za co kupię tatusiowi lekarstwo? Może balwierz zlituje się nad moją niedolą?

Pochlipując pod nosem, już kierowała swe kroki w stronę zasobnej chaty cyrulika, gdy usłyszała za sobą:

-Chodź ze mną, szlachetna Margareto.

Dziewczyna odwróciła się nagle. Była tak zdumiona, że nie zdążyła nawet spytać, skąd nieznajoma postać zna jej imię.

-Chodź ze mną – w zakapturzonej osobie Margareta nie mogła dostrzec twarzy, jednak było coś w głosie nieznajomego wędrowca, co każało bezzwłocznie podążać za nim.

Skręcili oboje w stronę drogi nowęcińskiej. Tajemnicza postać stanęła przed chatą, z pozoru taką, jakich wiele rybackich chat było wówczas w Łebie: niską, z drewnianych belek, ocieplanych mchem i gliną, ogaconych na dachu trzciną, zebraną na jeziorze Sarbsko. Wyróżniały ją jednak drzwi z rzucającą się w oczy mosiężną kołatką w kształcie psa, której Margareta nigdy jeszcze w życiu nie widziała. Przysięgłaby, że tej chaty nigdy tam wcześniej nie było.

-Zastukaj kołatką trzy razy – usłyszała głos za plecami.

Posłusznie, bez słowa sprzeciwu, chwyciła za kołatkę.

Buch, buch, buch – rozległo się głuche dudnienie, a zaraz po nim wysunęła się ręka z małym zawiniątkiem.

-Weź woreczek, schowaj go głęboko i nikomu nie pokazuj. Wracaj do domu, ojciec na ciebie już czeka – dziwna postać nadal pozostawała w ukryciu, nie zdjawszy ni razu kaptura.

Margarecie odjęło mowę ze strachu, pokiwała tylko głową na znak posłuszeństwa i poszła w stronę wybrzeża, gdzie znajdowała się chata rybacka jej ojca.

Po kilku krokach odwróciła się jeszcze w stronę drogi nowęcińskiej. Wiatr grał swoje melodie wśród pobliskich wierzb, z daleka widać było pochodnie rybaków ciągnących na pogrzeb. Mroczny księżyc sennie płynął wśród hebanowych chmur. Po tajemniczej postaci nie było ani śladu.

Margareta przeżegnała się pobożnie trzy razy, szepcząc słowa z belki domu Mappego: „Deus protector meus – Bóg moim obrońcą” i pobięła z powrotem.

W domu czekał na nią zdrowy ojciec. Padli sobie w ramiona i cieszyli radością małych dzieci. W zawiniątku Margareta znalazła trzy złote talary, których odradzająca moc pozwoliła im od tej pory nie zaznać nigdy biedy.

Po tajemniczej chacie na nowęcińskiej drodze ani po drzwiach z psią kołatką nie zostało ani śladu. Szlachetna Margareta nigdy jednak nie zapomniała o tajemniczej postaci, która jej pomogła, w dzień zaduszny wspominając modlitwą zmarłego wędrowca.

Bibliografia:

Kalendarium Łeby w opracowaniu Jarosława Gburczyka, zob.
<https://historialeby.pl/ti/Kalendarium-historii-miasta.htm>, data odczytu: 23.02.2019.

Godło: Kaktus5
Kategoria: 16 +

16 - DOROSŁI

Legenda o Starym Browarze Magdalińskich

Azali powiadam Wam pacholęta i służki, i dziewoje, i rycerzowie hardzi, i wszyscy ludzie woli dobrej, czas to straszliwy był, co oszczędzić nie raczył nikogo. Jam sługa Boga naszego, Ojca Dobrotliwego słyszał na uszy moje i widział na oczy nieszczęsne moje tragedję lewińskiego grodu i żem postanowił ludziom dobrem ku przestrodze historyję takową ostawić, coby nikt już niegodziwcem nie okazał się i przez mózgową przypadłość, albo i głupotę jaką w pokoju istot serca prawego nie namieszał. Wiele to było takich, co przy żywocie ostali, jam jeden jednak człek pokorny marnotę spisać zechciał, choć charłam tutaj straszliwie i znać nie mogę, kiedy mię Ojciec dobry do się przywołać raczy. Ale żem inkaustu kapkę w naczyniu znalazł i ległem w pierzynch gorącym a dreszczami ciało przejmującami trawion i dzieje osady spisywać mi przyszło w imię prawdy prawdziwej a najprawdziwszej. A zatem słuchajcie mię ludzie, słuchajcie i oby Wam nigdy do czasów tamtych zatęsknić nie przyszło.

Było to roku pańskiego 1856. Lewino okalała rzeka pewna, wody jej czyste były, przejrzyste, toteż drzewiej grodzianie co dzień one czerpać chadzali. Po wodoczerpaniu udawał się człek do swej pracy, czy to krawiectwu, czy garncarstwu, czy też bartnictwu się oddawał. Działwa lewińska baraszkowała dzionek calutki przy posesyjach ojcowych albo na placu miejscowym, a podlotki starsze nieco edukacyji w szkole zażywały albo też fachu się u mistrzów poduczały. I takowoż dzionki całe Lewińczykom mijały. Po pracy białogłowy ukradkiem z mężami zacnemi na schadzki do parku udawały się, panny bogate rozkoszom czytelnictwa się oddawały, a kawalerowie w gry karciane, cygara paląc w karczmie grali z kamratami swemi. Kiej Dażbóg słońce chował za horyzont, w osadzie cichej pohukiwania sów słyszeć się dało, a i wycie wilczków z lasów pobliskich dobiegało.

Razu pewnego, wieczorową porą, nie dalej jak łokci dziesięć od domostwa panicza Hoffer'a, mieszczanina zamożnego z rodu niemieckiego się wywodzącego, chadzał Kaszub pewien. A nikt mu się nie dziwował, iż tak chodzi bez namysłu, bo to miejscowy niedojda był, złośliwi powiadają, że chory na umyśle albo pomylenieć jaki. Kiej panny i panicze piękni szaty bogate przywdziewali, ten portki stare i kapelusz słomiany ubierał i trunku butlę dzierząc, jał przechodniów zagadywać. Pewnikiem dlatego, iż Kaszub ów kamratów ani dziewoi swej nie miał. Kiej tak stał on we słońca blasku, z wnętrza chaty wyszedł panicz nadobny o czuprynie jak smoła czarnej, a uśmiechu śnieżnobiałym ząbków pięknych białych. Zwiertzył niedojda do pogawędki okazyję i tak do panicza rzecze:

- Witôj knôpie! Cêż tam je czêc?

- A zmykajże mi stąd Kaszubie nielotny! Głowy mi tu nie mąć paplaniną swoją! A i szacunku kapkę racz okazać panowi zacnemu, jakim ja ci tu stojam! Czegôż chcesz ode mię?! - odrzekł pan Hoffer dystygowany, acz cierpliwość tracący z wolna.

- Oj chòrosc, chòrosc! - głosem drgającym jakoby z rozpaczki jakiej wielkiej niedojda się ozwał.

- Mówże jaśniej chłopie! Jakoważ to zaraza i gdzież ona?

- Tu! Hehehe! Tu! Tu! Hehehehe! - odparł mężczyzna.

- Jużem ci rzekł: zmykajże stąd! Tutaj zaraza? Czy ja na chorego wyglądam? Osada nasza zdrowiem się przednim cieszy. Niedojda jeden, mózgowo chory, czas mój zabierać ośmiela się! Jużci go! Patrzajcież ludziska! Mądrała się znalazł. Jam brat medyka zacnego, a babka moja, a i praciota takowoż medyczkami były. Ja o zarazach mnoga rzeczy znam. A zmykaj mi ty! - Szanowny panicz Hoffer nogą Kaszuba odrzucił, coby mu tamten miejsca na drodze ustąpić raczył i krokiem żwawem do lubej swej Małgorzaty skierować się chciał.

- Stało sã co? - zakrzyknął za paniczem Kaszub, obruszony najpewniej trąceniem panowej

nogi. - Dokądkaz tē jidziesz? Ni mōsz prōwdē, ni mōsz...

- A to jeszcze obaczmy. Ty mi tu ludowych mądrości nie praw. Tylu Kaszubów intelektem słynących, tylu! Baby zaradne, chłopcy silne, a u nas ty akurat mieszkać musisz. Aj głupi ty, głupi, do Kaszubów prawdziwych ni krzty niepodobny – to rzekłszy oddalił się panicz w pośpiechu, coby go rozmowami już nikt nie dręczył.

A pogawędkę tę króciuchną Dobrosław także zasłyszał. Zadrżało serce jego gołębie z przestachu, znał bowiem Kaszuba i wiedział, iż stary rację miewa w sprawach dziwacznych. Postanowił sobie w duszy swej delikatnej, do pomagania skorej, coby do medyka udać się miejscowego jak najprędzej, o sprawę tę niezwykłą dopytać. Jakowoż jednak pan szanowny, co imię jego Bezpraw brzmiało i który pracę dawał Dobrosławowi, zadań dużo mężowi zlecił, takowoż rozmowa z medykiem zaczekać zmuszona była.

Kiej Dobrosław skrzętnie pracował, buty u Bezprawa szyjąc dzionek cały, a i o rozmowie rozmyślając, medyk drugiego już chorego osłuchiwał, co objawy nieprzyjemne wielce i takowoż szpetne ukazywał. Dymienice na ciele mnogie mu wystąpiły, skóra zbledła przeraźliwie, oczy krwią szkarłatną zaszły, winne grona okrągłe przypominając. Kaszel nieszczęśnika męczył taki, że zdawać by się mogło, iż płuca za chwil parę biedaczyna wypłuje. Medyk wobec zarazy tak straszliwej uczynić zdolny był niewiele. Zalecił pacjentowi napary z szałwyji popijać, abo jako trunek przyczynić ze spirytusem, łojem gęsim dymienice smarować, na posłaniu pod pierzyną wylegiwać się i na zdrowia poprawę oczekiwać. Medyk na polepszenie nadzieję miał. Na nic się ona jednak zdała! Za dni parę, o jutrzeńki brzasku posłaniec do medyka przybył zziębnięty, potem ociekający i takó rzecze: „Paniczu szanowny! Pacjent pański nocy wczorajszej na Abrahamowe łono przeniesion został! Biedaczyna dreszczami szpetnymi targany, spokoju zaznał o trzeciej godzinie minut piętnaście, kiej go Pan dobrotliwy do się wziął łaskawie, oczęta krwią nabiegła jemu zamykając!”. Nowinę takową straszną zasłyszawszy pobladł medyk okropnie. Do umarłych przywykły był po prawdzie, zarazy się jednak straszliwej przeraził. Nie zdążył się być zmartwić do ostatku, bo wnet we drzwi doktorowe pukając, ktoś spokój jego zmącił. Medyk podskoczył w przestachu, włosie srebrem jakoby ze zgryzoty poproszone swe mierzwiąc.

- A kogóż to niesie? - zakrzyknął medyk.

- Panie szanowny, panie kochany! Racz się panie nad człkiem pokornym zlitować! Oj panie, panie! Jam biedny, pieniędzy u nas ci niedostatek, a i o strawę starać się zawsze mus, ażeby jakąś zdobyć, łachmany nasze stare na chleba ciemnego pajdę zamieniając. Jednak ratunku udziel, panie, ratunku! - chłop przybły charcząc na progu doktorowej izby wyrzekł.

- A ulitujże ty się nade mną, jakowoż ja ci tu jestem i rzeknąć mię racz, jakowe nieszczęście do mię cię pchało, dech ci w biegu odejmując.

- Ach panie, panie! Marnota to szkaradna! Marnota. Oooooch! - óż począł się, płać mężowy, jakoby na nowiny wyrzeknienie ozwoić przybyłemu raczyć nie chciał.

- Panie szanowny, jam człek cierpliwy w naturze swej, jednakoż czasu cennego marnować nie przystoi mi. Mówże już, czegoż ci potrzeba.

- Żona moja, ach, Dobrusia ukochana! Chorość jakowa niewiastkę dopadła! Na ciele jej całem, takim pięknem dnia poprzedniego jeszcze, takie... takie bruzdy koloru ciemnego wystąpiły. Oj, imię ich z łepetyny mi wyskoczyć musiało. Dymowe...Dyminy...

- Dymienice – w słowa jego niezgrabne doktor wtrącił się.

- Jako doktor prawi! Dymienice! A i siły jej jakoby lichy jakie odebrało! Oj, marność to, marność!

- Panie szanowny... Bojam się, iż nie do mię, a do Pana naszego w Niebie będącego o litość błagania z ust twoich, co to były pod adresem mojej osoby powiedziane pochopnie, zaniezione być muszą. Jam wobec chorości tej bez sił! Mistrz mój, com u niego nauki jako młodzianin pobierał, o zarazach tak straszliwych nie rzekł mi nigdy. Nie pana białogłowa jedyna charła w dniach tech. Jużem razy kilka nie uradził! Niechże żona księdza zawezwie i z domostwa nie wychodzi. Niech wam Pan nasz błogosławi.

To rzekłszy medyk chłopca za odrzwia wyprosił i pacjentów następnych do izby jął przyjmować. W dni czterech przeciągu ludzi tuziny dwa abo więcej charłających, dymienicami

uszczeponych, na nogach wątych ledwie stojących, do doktora przywlokło się. Zaraza w lewińskim grodzie szerzyła się okropnie, a macki swoje ohydne do domostw wielu przez szpary najwęższe w odrzwiach weiskając, na Abrahamowe łono ludzi tako prawych, jako i łotrów zabierała. Strach blady Lewińczyków omotał. Do pracy rąk brakło, tragedia okropna do życia ochotę najweselszym odebrać zdążyła. Ulice lamentami przeraźliwymi tak matek, jako i dzieciak zapełniły się. Kundle z ulic do lasu pouciekały wszystkie, coby zawodzeń nie musieć słyszeć, a i schronienie jakowe wśród lasowych drzew znaleźć i pomiędzy liśćmi opadłymi umościć się. Kiej tak zaraza panoszyła się i na odejście jej nadziei zdać się widać nie było, przypomniawszy sobie Dobrosław o kaszubowej rozmowie z paniczem i chwilę wolną od pracy znalazłszy do medyka pobieżył.

- Dobry dzień, panie doktorze szanowny! Co to się za zaraza w lewińskim grodzie szerzy? Ludzi na ulicach garstka mała, pracować komu nie ma, kobiety wychodzić z chałup się boją, osada nasza wymarła się zdaje!

- Dobrosławie! Dziwuję się, że ty w chacie swojej nie ostałeś! Chorość to okropna po prawdzie, a nie wiadomo mi, skąd ona zesłana na nas. Wróć do domostwa, do Rzepichy krasawicy swojej, strawę z nią przyrządź, a nosa za odrzwia nie wychylaj i do Pana się módl, coby ta chorość i do was macek nie zapuściła – na Dobrosławowe pytanie doktor odparł.

Młodzieniec z miną nietęgą z izby wyszedł. Ulicą główną w kierunku, z którego słońce wschodzi, poczłapał. Do chaty dotarłszy, Rzepichę ucałował i strawy przez krasawicę nawarzonej skosztował. Kiej tak o marności tej rozmyślał mu przyszło, co gród lewiński pustoszy, lepiej podniebienie kartofle pieściły, a białogłowa, w kącie izby przycupnięta, piękniejszą mu się zdała. Tako świata miłowanie Dobrosławowe wielkie było, że co dzień, kiej jutrzeńki blask pierwszy w oknie ukazał się, Rzepichę ucałowawszy, wbrew doktorowemu zaleceniu, młodzieniec z chaty wymykał się i po Lewina uspionych ulicach wędrował. Miłował Dobrosław tę osadę, miłością głęboką a czystą. Kiej pomyślał, iż cierpią ludzie, dziatki za matułami płaczą, a ojcowie z chaty wyjść się boją, żalność taka serce jego gołębie ścisnęła, iż łzy po twarzy młodzieńca płynąć poczęły.

Wtem jasność jakowa przedziwna Dobrosława otoczyła. Widzieć on janiola niezdolny był, wiedział jednak, iż blisko niego znalazł się. Na kolana swe upadłszy, słów przybysza słuchać począł. A posłaniec tako rzekł:

„Jam tu, by gród ocalić.

Ty jeden umiesz świat jeszcze chwalić.

Próba to dla was być miała,

Jednakże rzecz się okropna stała!

Nikt tutaj już życia miłować niezdolny,

Wszystkim się żywot zdaje mozolnym.

Jeden ostałeś się mężem prawym!

Nie utrac radości,

Niech za sprawą twoją w grodzisku zagości.

Przyczyny szukaj u życia źródła...

Niech z oczu waszych zejdzie uluda.”

Kiej łepetynę Dobrosław uniósł ciekawością niesiony, łuna biała rozmyślała się, kamieniczki ceglane ukazując. Próżno mężczyzna posłańca niebieskiego wypatrywał.

Źle się w osadzie działo, oj, źle przez zarazę nikczemną! Nic się już Dobrosławowi i białogłowie jego umiłowanej nie ostało, jeno strawy gotowanie z ogródkowych warzyw, z roboty utracenia powodu. Nie było mieszkańca, który nie bojał by się z innemi pogawędki ucinąć, toteż Bezpraw na Rzepichę nie bacząc, po dzionku pracą wypełnionem, na Dobrosława spojrzawszy i z oczema smutkiem niewzruszonymi do roboty wracać mu zabronił. Toteż błąkał się teraz mąż bez zajęcia dla umysłu i mięśni żadnego i o zarazie rozmyślał. Słów janiola zrozumieć zdolny nie był, jednak w sercu swem czystym postanowienie powziął, iż marność przyczyny poszukiwać będzie. Kiej tak kroczył i kroczył, słońce mocniej świecić poczęło, zmęczenie na ludzi zsyłając. Przysiadł Dobrosław na głazie chłodnym pod drzewem wielgachnem, cienia kapkę dającym i liściowego szumu nasłuchiwać jął. A zdać mu się mogło, iż gałęzie słowa ciche szeptały, jakoby umysł

Dobrosławowy mgłą gęstą zasnuwając. I tak siedział mąż zacny, i siedział, rozkoszy znacznej głosu tegoż przedziwnego zielenią pachnącego nasłuchując. I zdało mu się, iż coś ciągnie go do parku głębi, coby go tam już na zawsze zatrzymać. A o pomyślunku swoim, o zarazy zwalczeniu, zapomniał Dobrosław. Wtem sikorka żółciutka z główką jako węgielek czarną i dziobkiem malutkim na ramieniu Dobrosławowem piosnkę piękną śpiewając przysiadła. Tako się drobne nutki przez mgłę w umyśle męzowym przebiły, iż oczy czyste Dobrosławowe otwarły się i wzrokiem za ptaszkiem podążyły. Poderwał się chłop z kamienia i za sikorką jął biec, kiej jednak z parku nogę wystawić zdołał, zwierzę niezwykle, a zaczarowane może, zniknęło, Dobrosława jako palec samiotkiego ostawiając. I wtedy zamiar o zarazy przyczyny znalezieniu do głowy wskoczył wtóry raz. Jakowemś dziwnym przecuciem pchany, Dobrosław w kierunku zamku starego udał się. A drogą piaszczystą, liśćmi zielonemi uślaną idąc, na boki bacznie rozglądał się, a widoki oczyma chwycił i do serca swego wkładał, zachwycając się niemi niezmiennie. Kiej przed murami miasto okalającymi stanął i na strumyk popatrzył, widok przedziwny ujrzął: oto woda czerwona, do krwi podobna, pod stopami jego płynęła, rośliny jakoby ogniami strasznymi trawiąc. Przetarł oczy swoje Dobrosław w niedowierzaniu i raz kolejny na strumień popatrzał. Woda przejrzysta stała się na nowo, zwierzęta jednak stronić od niej się zdawały, a gałązka zielona przez sikorkę, na powrót przybyła, upuszczona do wody zdradliwej w bąbel suchy w okamgnieniu zmieniła się, soki wszystkie swoje wypuszczając. Widokiem tak niecodziennym mąż prawy przerażony, w górę rzeczki udał się, za pagórek zielony zaglądając, gdzie to rzecz okropną zauważył. Oto Bezpraw, niegodziwiec, skóry zwierzęce ze skrzyni olbrzymiej wyjmując do strumienia płynącego wrzucał. Kiej skóra taka wody dotknęła, kolor strumienia na szkarłatny zmieniał się i bąble wodne jakoby tworzyły się. Czas jakiś zjawisko trwało przedziwne, po czym skóry rozplywały w wodzie zdawały się. Dobrosław jednak zauważyć zdążył, iż porwane one, dymienicami usiane bęły, chorością jakoby trawione. „O Boże mój, dopomóż racz i co począć, doradź czelkowi prawemu!” Wnet odwaga jakowaś przedziwna serce Dobrosławowe przeszła, tako iż się mąż chrobrym nad wyraz zdać mógł. Podeszedł on do niegodziwca Bezprawa i tako jemu jął prawić: „Bezprawie, jam u ciebie buty przez lat tyle wyrabiał, a ty się takowo mi a mieszkańcom grodu odpłacasz, iż materyjałów zepsutych godziwie pozbyć się nie możesz? Znikaj z osady naszej, co w niej mnoga namąciłeś, my cię w grodzie naszym miłować nie będziemy!” Tako się Bezpraw hartu Dobrosławowego przeląkł, iż skóry z sobą biorąc w lasu kierunku, nogami niezgrabnymi przebiegając uciekł. Jednak bojąc się począł Dobrosław serca prawego, iż niegodziwiec do osady dnia jakiego powrócić jest zdolny! Trapił się mąż przez czas pewien, aż dzionka pewnego strażniczka ogniska jego domowego, Rzepicha, pomyślunek poddała mu. I już wieczora następnego deski drewniane dzierżąc, podążył w obrzeżach miasta kierunku i do pracy zabrał się. Siejaca przestrach wodna zaraza straciła swą moc. Ludzie zebrali się, do pomocy skorzy. I tako po przejściu niedziel kilku, gotowy był browar piękny, od nazwiska Dobrosławowego, co Magdałiński brzmiało, Magdałińskich Browarem nazwany, co ochronę mieszkańcom zapewnić miał, poprzez wodnej struktury zmianę, coby napój zarazą nieskażony dawała. I tak, kiej się strumyk podejrzanemu komu zdał, biegł co sił w nogach do Dobrosławowego browaru po trunek. W latach późniejszych, kiej woda już bezpieczna musiała być, bo Bezpraw pewnikiem w lesie jakim przeze wilków chmarę zagryzion był, zbierały się chłopcy i dziewczki urodziwe w browarze, zabawy zażywać i odpocząć po robocie. A zda mi się, iż budynek ten, to przez lata długie stać będzie, gdzie postawion był, malunkiem pięknym ozdobion. Nigdy już mieszkańców Lewina zaraza straszliwa dzięki Dobrosławowi nie nawiedziła, a z serc ich lęk zniknął, co z domostw wychodzić zabraniał im.

Na ostatek przyjmij czelku miły, słowa ostatnie może męża wieku podeszłego. Otóż ja powiadam Wam, jako Dobrosław poprzez świata miłowanie prawdę dostrzec, serca ludzkie otworzyć i kamratów swych ocalić zdołał, tako i Wy możecie czynów wielkich dokonać. Wsłuchać się jeno winni jesteście w serc Waszych głos i nie lękać się przeciwności, które los Wasz ograniczyć Was chce. Kiej ciekawość, jako u dziecka jest, serce czyste, jako u niewiasty młodej, a umysł przejrzysty, jako u męża mądrego zachowacie, drogę do celu prowadzącą znać będziecie. A słuchać każdego trza, tako siebie, jako i innych, bo to wiedzieć nigdy nie można, czy ten, co go za pomyślenie biorą, krok przed innymi nie jest i prawdy o świecie nie prawi.

GODŁO: PEJZAŻ

16-DOROŚLI

LEGENDA BŁĘKITNEJ KRAINY**„Pojedynek Malarzy”**

Cisza. Jedynie to można było usłyszeć tego poranka na Placu Pokoju w mieście o herbie złotego lwa, okazale stojącego naprzeciwko białego zamku. Słońce dopiero zaczynało wznosić ku górze swe szlachetne oblicze, zwiastując nadejście kolejnego dnia.

Wzdłuż ul. Staromiejskiej dumnie kroczył mężczyzna w sędziwym wieku, któremu ten spokój odpowiadał. W jego wieku tylko tego brakowało do pełni szczęścia. Nigdzie w tej chwili mu się nie śpieszyło. Właściwie to... już od bardzo dawna nigdzie mu się nie śpieszyło. Uśmiechnął się na tę myśl. Lecz był to niezwykle ponury uśmiech. Jego błękitne i jakże inteligentne oczy zwróciły się w stronę zabytkowych kamienic, które ciągnęły się wzdłuż deptaka. Poranne promienie delikatnie oświetlały XIX i XX-wieczne kamienice. Z zadowoleniem spojrzął na ten cud architektury. Jednocześnie rozeźmiał się z boleścią. Nieraz, gdy spoglądał razem z świętej pamięci małżonką na tą zróżnicowaną aranżację fasad z wielobarwnej, glazurowanej cegły z rozbawieniem stwierdzali, iż artysta, który stworzył te kamienice, musiał być dzieckiem z niezwykle bujną wyobraźnią. Ale za to genialnym dzieckiem. A może po prostu nie stracił tego wewnętrznego ognia, który ludzie zwykle tracą wraz z odejściem dzieciństwa...

Pocziwy staruszek przyglądając się kamienicom przez dłuższą chwilę miał wrażenie, że ich neogotyckie okna, wykończone łagodnymi łukami, głęboko lecz ciężko oddychają. W głowie zawitała mu myśl, iż są one równie stare jak on, a nawet i starsze. Naraz zastanowił się jak dużo oglądały i widziały już ich ściany...

Starszy mężczyzna westchnął i zmęczonym krokiem ruszył dalej, mijając znaną fontannę z żabkami, znalazł się na Placu Pokoju. Jednak to co zobaczył przed sobą spowodowało, iż ponownie przystanął. Zmrużył oczy, jakby wydawało mu się, iż to co widzi to tylko efekt jego wadliwego wzroku. Splecione wcześniej z tyłu dłonie wysunął do przodu i ruszył już zwawszym krokiem przed siebie. Gdy był wystarczająco blisko, aby stwierdzić z pewnością, iż wzrok go nie myli, wpadł w niemałą konsternację. Na placu pokoju przy jednej z ławek stał malarz... Oczywiście wraz z całym arsenałem różnej grubości pędzli oraz farb, które rozłożył na ławce. Ktoś mógłby się dziwić „Ot coś niezwykłego! O co znów tyle hałasu? Zwyczajny malarz.” Jednak sama postać i ubranie mężczyzny mogły wprawić w niemałe zdumienie. Było w nim coś nie z tej epoki... Młody artysta o bujnej, kasztanowej czuprynie odziany był w szerokie granatowe spodnie do kolan wyglądające niczym barokowe pludry oraz szeroką białą koszulę, lecz o wiele przydużą na jego zgrabną, opaloną sylwetkę, zaś na jego głowie widniał ciemnozielony kapelusz.

Staruszek zaszedł artystę od tyłu, by móc z bliska przyjrzeć się jego pracy. Nie myślał teraz o tym, że zachowa się niegrzecznie. Ciekawość wzięła górę. Malarz stał przed dużym, białym płótnem, umiejscowionym na sztaludze i zgrabnym ruchem ręki, pełnym gracji i wyrafinowania, godnym prawdziwej Primabaleriny, nanosił kolejne warstwy barw na obraz. Podczas malowania nie poruszała się tylko jego ręka, ale i całe ciało, co sprawiało, że osobie obserwującej to z boku mogło się wydawać jakby mężczyzna pogrążony był w jakimś rytualnym tańcu, którego znaczenie tylko on rozumiał.

-Wie pan... Inspirują mnie miejsca i ludzie o ciekawej i osnutej dozą tajemniczości historii.- z niemałego odrętwienia wyrwał staruszka cichy, ale pewny siebie głos malarza, który odczuwał się nie odrywając wzroku od swojego dzieła. Najbardziej jednak zdumiewające było to, że powiedział to tak, jakby byli bardzo bliskimi sąsiadami, znającymi się od lat i spotykali się tu codziennie.

-Przepraszam ekhem... niecodziennie widuje się u nas takich artystów... Zwłaszcza takich jak pan, a już zwłaszcza o tak wczesnej godzinie.- odpowiedział po dłuższej chwili wahania.

- Nic nie szkodzi- odparł nieznajomy z rozbawieniem. Przez ten cały czas na jego przystojnej i młodej twarzy gościł uśmiech. Czarne jak noc oczy białe były w płótno, na którym z chaotycznych

kleksów i fal powoli zaczęły rysować się kontury Sanktuarium Świętego Jakuba Apostoła oraz Placu Pokoju przed nim.

-Jeszcze raz przepraszam za swoje niewychowanie. Pozwoli szanowny pan, że się przedstawię. Nazywam się Zdzisław Makówka.- To powiedziawszy uchylił kapelusza, czego malarz i tak nie mógł zauważyć, ponieważ od przybycia staruszka nie odrywał wzroku od malunku. Kiedy Zdzisław zauważył, że nie uzyska odpowiedzi ciągnął swą wypowiedź- Wie Szanowny Pan, że mieszkam tu od dziecka? Bardzo... hmm bardzo urocze miejsce czyż nie? Uważam, że wielu ludzi go nie docenia. Jednak dalej nie rozumiem skąd u pana taka fascynacja tym miastem. Czyż nie ma na świecie piękniejszych?- Na to malarz szczerze się roześmiał i powiedział jakby do siebie – Doprawdy polubiłem Pana.- Na chwilę jego lewa dłoń z pędzlem zawisła w powietrzu. Artysta zamyslił się i zapatrzył na wlatującą w górę niewielką chmurę gołębi, ale już za chwilę znów kontynuował- Cóż... Widzi Pan. Miejsce to jest szczególne. Wielu nie docenia tego miejsca, jak Pan zauważył, ponieważ nie zna wielu historii z nią związanych. Ale jak można ich za to winić?...

- Ależ Panie Artysto! No niechże mi Pan zechce mówić po imieniu.- Malarz na powrót się roześmiał, po czym diametralnie spowaźniał i pierwszy raz odwrócił się twarzą do zacnego staruszka.

Jego oczy... pomyślał Zdzisław, kiedy nieznajomy na niego spojrzał. Było w nich wszystko. Cierpienie. Ból. Pustka. Tęsknota. Radość. Szczęście. Jednak to co zaskoczyło staruszka najbardziej to zmęczenie wymalowane na twarzy młodego artysty. Miał wrażenie, że patrzy na człowieka, który przeżył co najmniej II wojnę światową i wyprawę na drugi kraniec świata. Istny huragan uczuć i emocji. Malarz powoli otworzył usta, nie spiesząc się, jakby ważył słowa.- Polubiłem Cię Zdzisławie, za twoją dziecięcą szczerą i ciekawość świata, dlatego też pragnę opowiedzieć ci jedną z historii dotyczących Łęborka. Jednak ta... należy do tych najmniej znanych. Usiądź obok mnie Zdzisławie.- Ton jakim artysta wypowiedział te słowa był niemal rozkazujący. Oniemiały ze zdumienia staruszek posłusznie klapnął na ławkę obok farb, po czym utkwiał otwarte szeroko oczy w obraz. Malarz odwrócił się na powrót w stronę płótna i zaczął barwnie opowiadać, ozdabiając każde zdanie jak przystało na prawdziwą artystyczną duszę.

-Wszystko zaczęło się tego dnia, kiedy słońce gości na niebie bardzo krótko, a ziemia okryta jest białym puszystym płaszczem gdzieś gdzieś wybrudzonym krwią lub błotem...

...

Wszystko zaczęło się tego dnia kiedy słońce gości na niebie bardzo krótko, a ziemia okryta jest białym puszystym płaszczem gdzieś gdzieś wybrudzonym krwią lub błotem. Dokładnie był to luty 1645 roku. W mieście panował harmider. Wszyscy gdzieś pędzili, pochłonięci przygotowaniami na przybycie Marii Ludwiki do Łęborka, dawniej zwanego Lauenburg. Właściwie była tam tylko przejazdem, ponieważ na dłuższy czas miała zatrzymać się w Gdańsku, jednak dla skromnych mieszkańców Łęborka to było i tak ogromnie ważne wydarzenie.

Ludwika Maria Gonzaga de Nevers była narzeczoną Króla Polski- Władysława IV i właśnie jechała na swój ślub. Urodziła się jednak w Nevers we Francji, a więc była cudzoziemką. Przyszła Królowa przybyła do miasta otoczona orszakiem pięknych Francuzek oraz żołnierzy, którzy pilnowali ich bezpieczeństwa. Co ciekawe czcigodna Ludwika zabrała ze sobą 4-letnią córkę chrześną- zjawiskową Marie Kazimierę de La Grange d'Arquien, pod pretekstem, iż chce zadbać o dobrą przyszłość dziewczynki, ponieważ jej rodzicom daleko było do zamożności, jednak niektórzy nieprzychylni francuscy plotkarze twierdzili, iż było to podyktowane miłością Marii Gonzagi do małej francuski, ponieważ rzekomo była jej prawdziwą matką...

Nie odbiegając od głównego wątku. Powiadają, że przyszła królowa wjechała do Łęborka w południe, kiedy słońce wisiało najwyżej w ciągu całego dnia i nawet ono radośnie powitało Marię Gonzagę, posłusznie kładąc swoje promienie na przezroczystej od zamrożonego lodu ziemi, tworząc w ten sposób oślepiający swym blaskiem królewski dywan. Całe tłumy stały wzdłuż drogi, którą wjeżdżał orszak. Wszyscy odziani byli odświętnie, w jasne różnorodne barwy, a ich policzki miały mocno zaróżowiony kolor przez mróz, panujący wokół. Mieszkańcy rzucali kwiaty, wiwatowali i eskortowali narzeczoną Władysława IV do zamku łęborskiego, dawniej zamku krzyżackiego.

Wśród tłumu znaleźli się również dwaj najwybitniejsi malarze tej błękitnej krainy. Oboje różnili się statusem społecznym, charakterem i poglądami. Oboje wybitni, ale tak odmienni. Uzupełniali się niczym ogień i woda, zmierzch i świt. Niestety już od czasów chłopięcych ostro ze sobą rywalizowali. Pierwszy z nich Florian podobno pochodził z bogatej, szlacheckiej rodziny, był ambitnym idealistą oraz co ważne- realistą, co ukazywał też na swoich obrazach, które były dopracowywane przez jego wprawną rękę do każdego szczegółu. Ludzie zachwycali się jego dziełami, mówili, że gdy spojrzano się na jego obraz to miało się wrażenie jakby była to namacalna część oderwana z rzeczywistości. Drugi z nich- Walerian był dosyć ubogim mieszczaninem. Jego rodzice trudnili się rybactwem w nadmorskiej Lebie. Walerian w przeciwieństwie do Floriana głowę wypełnioną miał po brzegi marzeniami. Często ponosiła go wyobraźnia. Jego rysunki były odzwierciedleniem jego nieskalanej złem duszy, towarzyszących mu emocji. Powiadają, iż jego rękę prowadził anioł.

Tego dnia, gdy progi Lęborka przekroczyła Maria Ludwika obaj malarze zapragnęli zobrazować jej cudowne oblicze na płótnie. Przyszła królowa zauroczyła ich serca swoją dojrzałą urodą oraz dostojnością. Dowiedziawszy się o tym od osób trzecich, narzeczoną Władysława IV wysłała jedną ze swych francuskich dworów z zaproszeniem dla młodych artystów do zamku, na uroczystą wieczerze. Oczywiście obaj przyjęli zaproszenie z ogromną przyjemnością.

Gdy nad miastem zapanował zmrok i nadchodził czas spotkania Walerian wraz z Florianem ruszyli w stronę centrum miasta. Tego radosnego dnia, wyjątkowo udali się na zamek wspólnie. Ramię w ramię. Niczym kochający się bracia. Po drodze milczeli pogrążeni we własnych myślach z narastającym w ich sercach napięciem. W panującym wokół mroku towarzyszyło im światło pochodni, rzucających martwe cienie na kamienny dziedziniec zamku, które zdawały się poruszać i szeptać między sobą o sekretach życia duchowego. Ze środka zbudowanej z czerwonej cegły budowli dobywał się stłumiony przez grube ściany radosny gwar. Mężczyźni stanęli przed ciężkimi wrotami, strzeżonymi przez żołnierzy. Podali im swoje zaproszenia, na których widniał autentyczny podpis przyszłej królowej. Po wstępnych formalnościach przekroczyli progi zamku. W środku panował półmrok, który rozświeślały jedynie pochodnie, świece stojące na długich stołach pokrytych białymi obrusami i zakąskami oraz kominy. Mimo to w ogromnej sali, w której odbywała się wieczerza od zimnych ścian bił przeraźliwy chłód, dlatego wszyscy obecni odziani byli w grube płaszcze ze skóry oraz futra. Tej zimy mróz naprawdę nie zamierzał rozpieszczać i nie zrobił wyjątku nawet w tak uroczysty dzień. Jednak to nie przeszkadzało zupełnie w biesiadowaniu ludziom, którzy poprzynosili na tę uroczystość całą swoją najlepszą domową strawę, mimo ubóstwa i ciężkiej codzienności. Pragnęli ukazać się swojej przyszłej królowej z jak najlepszej strony.

Walerian oraz Florian z wolna podeszli do głównego stołu, przy którym stołowała się piękna czarnowłosa Maria Gonzaga. Jej piękna twarz rozciągnęła się w promiennym uśmiechu gdy spostrzegła dwóch przystojnych młodzieńców zmierzających ku niej. Florian był niższy, jednak szedł pewnym siebie krokiem z zadartym do góry nosem, natomiast Walerian zwyczajnym, miękkim krokiem ze wzrokiem utkwionym w ziemię, na jego okrągłe policzki wystąpiły lekkie rumieńce. Nigdy nie potrafił ukrywać swych uczuć, nie potrafił oszukiwać sam siebie, a tym bardziej innych, więc teraz też nie zamierzał ukrywać własnego zakłopotania.

Ludwika niemal za każdym razem po pierwszym zlustrowaniu mężczyzn swymi pięknymi, ciemnymi oczyma wiedziała doskonale z kim ma do czynienia. Zawsze była niezwykle powabna oraz inteligentna i doskonale zdawała sobie z tego sprawę. Choć tym razem miało okazać się zupełnie inaczej. Kobieta skinęła uprzejmie głową kłaniającym jej się młodym artystom.

- Witajcie, drodzy malarze. Rozgoście się przy mym boku.- zaczęła, jej głos był gładki niczym jedwab. Działał jednocześnie kojąco i urzekająco. Gdy usiedli kontynuowała. Mówiła wprost, bez zbędnych ozdóbek.- Nie zamierzam was zwodzić drodzy przyjaciele choć wiem, iż wasze serca zapłonęły do mnie miłosnym ogniem. Pragnę złożyć wam jednak propozycję nie do odrzucenia. Proszę was byście obaj namalowali dla mnie obraz, który oczaruje moją znudzoną i zepsutą do cna duszę. Nieraz mam wrażenie, że jest ona już całkiem martwa. Chcę, aby ponownie zabłysła niebiańskim światłem, zwłaszcza, że mam zostać królową... Ten, którego obraz rozbudzi we mnie jakiegokolwiek emocje, zyska moją dozgonną wdzięczność. Swojego serca powierzyć nie mogę.

ponieważ obiecane jest ono już komu innemu, lecz mogę obiecać wam rękę mojej córki chrzestnej. Skończyła ona dopiero co prawda czwartą wiosnę, jednak jej uroda jaśnieje już teraz i oczarowuje swą niewinnością ludzkie serca. - Zakończyła swą wypowiedź i łagodnie acz wyczekująco spojrzała na swych zacnych gości.

Twarz Floriana stężała, poczuł trawiące go od środka rozczarowanie, mimo to odrzekł. Przystaję na tę propozycję. Będzie to pojedynek na miarę naszego kunsztu. Będzie to dla nas swego rodzaju pojedynek, by sprawdzić, który z nas okaże się lepszy- spojrzał wyzywająco na rówieśnika. Królowa uśmiechnęła się do niego, rozbawiona dobrze jej znaną młodzieńczą brawurą, po czym spojrzała pytająco na Waleriana, którego twarz wyrażała zmieszanie i złość.

- Nie mam zamiaru walczyć o rękę czteroletniej dziewczynki, która jeszcze nawet nie rozumie czym jest miłość. Nie godzi się w ten sposób planować małżeństwa, w którym tylko jedno z dwojga może odnaleźć szczęście - hardo odrzekł Walerian. - Jeśli już mam się pojedynkować to tylko jeżeli nagrodą będzie twoje uznanie i wdzięczność o Pani. Zresztą malowanie dla Pani będzie już wystarczającą nagrodą. - Maria Gonzaga spojrzała z podziwem na ledwie 17-letniego młodzieńca i odpowiedziała - Nie będę ukrywać, iż imponuje mi twa dojrzałość. Dobrze więc, niech będzie tak jak mówisz.

Florian po tej wymianie zdań nic nie odrzekł, ale po jego wypiekach na twarzy można było stwierdzić, iż nie podoba mu się taki układ, mimo to honor nie pozwalał mu zaprzeczyć prawdziwości słów swego odwiecznego rywala.

Reszta wieczoru upłynęła na miłej dyspacji, której głównym tematem był rysunek oraz światowi malarze. Florian niewiele się odzywał. Niekiedy tylko dla uprzejmości skinął głową lub odpowiadał półsłówkami. Z ukłuciem zazdrości patrzył jak między przyszłą królową a Walerianem rodzi się mała nić porozumienia i empatii. Ale także skorzystał by przyjrzeć się i zapamiętać najmniejsze szczegóły urody Marii Gonzagi. Pragnął namalować tylko ją, by zobaczyła jaką ją widzi i by go pokochała, choć wiedział, że to niemożliwe ze względu na jej zaplanowaną już przyszłość. Jednak jego młody wiek sprawiał, iż nie dopuszczał do siebie rzeczy niemożliwych i dalej się łudził. Mniej więcej w połowie wieczery ucałował dłoń Ludwiki, podziękował za gościnę i czym prędzej wyszedł. Kobieta tak była pochłonięta rozmową z Walerianem, iż nawet nie zwróciła na to szczególnej uwagi. Nie zdążyła poznać i przejrzeć temperamentu Floriana, co było jej ogromnym błędem. Natomiast nie uszło to uwadze Waleriana, który szybko zauważył dziwne milczenie i zachowanie młodego idealisty, zawsze pragnącego dominacji, nawet w rozmowie. Rzekł więc niedługo po jego wyjściu - Wybacz mi droga Pani, ale myślę, że powinienem zacząć już swą pracę nad dziełem. Życzę dobrej nocy. - zakończył i odwrócił się na pięcie.

Gdy siedł pustym korytarzem zamku usłyszał ciche stąpanie. Po jego prawej stronie były wąskie kamienne schody, zapewne prowadzące do komnat. Wtedy ją ujrzał. Małą 4-letnią M. Kazimierę d'Arquien. Miała równie kruczoczarne długie włosy jak jej matka chrzestna oraz ciemne, głębokie oczka. Jej blada cera jaśniała oświetlona przez ogień z pochodni obok. Z maleńkich, naturalnie zaczerwienionych na jasno ust wydobywały się obłoczki pary. Ubrana była w nieskazitelną białą tunikę nocną, a na ramiona zarzucony miała gruby kożuch. Znieruchomiła stała u podnóża schodów i wpatrywała się w Waleriana, który w jednej chwili już wiedział jaki obraz chce namalować. Młodzieniec uśmiechnął się, gdy dziewczynka z powagą przyłożyła mały paluszek do ust, aby ten zachował ciszę. Domyślił się, że jego opiekunka nic nie wie o jej nocnej przechadzce po zamku. Kiedy dał do zrozumienia dziewczynce, że zachowa jej sekret w tajemnicy, dziewczynka wbiegła z powrotem po schodkach do góry, a artysta skierował się ku wyjściu.

Następnego dnia pobytu Marii Gonzagi i jednocześnie ostatniego, ponieważ był to tylko mały przystanek w drodze do Gdańska, miał nastąpić werdykt. Malarze w południe udali się na główny rynek przy Kościele Św. Jakuba, gdzie miało się odbyć uroczyste pożegnanie oraz zwieńczenie ich ciężkiej kilkunastogodzinnej pracy w pocie czoła. Wieść o ich pojedynku niezwykle szybko rozniosła się po mieście. Ludzie tłumnie zeszli się do centrum miasta ciekawi tego niecodziennego wydarzenia. Maria Ludwika Gonzaga stanęła przed młodymi mężczyznami, czekając aż ci ukażą jej swe dzieła. Obaj artyści spojrzeli ku sobie z powagą i na znak odwrócili obrazy w stronę przyszłej królowej. Kobieta z uwagą skupiła wzrok najpierw na obrazie Floriana. Zobaczyła siebie siedzącą

w ciemnej komnacie skąpaną w blasku świec. Artysta idealnie skopiował każdy detal jej urody, ukazując wszystkie atuty, nie pomijając niczego. Była wręcz idealna... zjawiskowa. Potem odwróciła się w stronę malunku Waleriana. Ujrzała swą ukochaną córkę chrestną. Dziewczynka stała przed dziedzińcem zamku, którego mury owijał zielony bluszcz, niczym wąż swoją ofiarę. Szczupła sylwetka Kazimierzy pokryta białą szatą, wspinała się na bosych palcach u stóp. Kontrastem dla nieskazitelnej bieli były kruczoczarne, długie włosy powiewające na nocnym subtelnym wietrze. Jej mała, drobna dłoń wyciągnięta była ku ogromnej tarczy księżyca w pełni, jakby pragnęła go choćby musnąć. Twarz skierowana na wprost, wyrażała spokój i całkowitą niewinność. Policzki, tak doskonale znane Ludwice, które całowała co wieczór na dobranoc, były lekko zarumienione i zaokrąglone. A oczy... Te, których dotąd żaden malarz nie potrafił przejrzeć na tyle, by potrafić umieścić ich głębiej na płótnie, tutaj były jak żywe, błyszczące niczym gwiazdy, które zazdroszczą ludziom obserwując ich życie z góry w niemym zachwycie.

Oczy Ludwici na jedną małą chwilkę zaszkliły się, jednak przyszła królowa szybko otrząsnęła się, ponownie przybierając na twarz maskę, pozbawioną zbyt wzniosłych emocji. Choć osąd i werdykt wydawać mógłby się oczywisty, nie był taki. Choć ludzi wokół było setki nikt nie śmiał się odezwać. Wszyscy spoglądali tylko na nią i czekali. W końcu Maria Gonzaga odezwała się.

- Ogłaszam, iż zwycięzcą pojedynku malarskiego zostaje... Florian.- Przez chwilę głos jej się załamał, jednak nie dała po sobie niczego poznać.- Przez najbliższy tłum przeszedł cichy szmer niedowierzania, jednak po chwili już nie było go słychać, bo wśród mieszkańców Lęborka rozległy się głośnie owacje. Jednak Florian nie należał do naiwnych, dokładnie wiedział co się stało, doskonale widział te ukradkowe spojrzenia swojego rywala i Ludwici. Bardziej podobał jej się obraz Waleriana, ale za pewne ten zdążył jej już opowiedzieć o porywczej naturze Floriana i o tym, że ten nie zniósłby uczucia porażki. Niestety młody idealista poczuł jeszcze większą wściekłość na myśl, iż ktoś zmałwia się za jego plecami, traktując go jak bezrozumne dziecko. Wolałby przegrać niż czuć takie upokorzenie. Ogarnięty rzadzą nienawiści krzyknął tak, by wszyscy na placu go słyszeli i wyzwał Waleriana na pojedynek... Tym razem prawdziwy. Na szable. Zrobił to, doskonale zdając sobie sprawę, iż szermierka od dziecka była piętą Achillesową jego przeciwnika.

Dalszy ciąg legendy głosi, że Florian podczas krwawego pojedynku zabił swego rówieśnika, a starsza siostra młodego Waleriana, która w mieście posiadała miano czarownicy, nie znając pobudek jakimi kierował się morderca brata w ramach zemsty przeklęła go, skazując na wieczne życie w samotności. Obwieściła mu, że odtąd będzie żył życiem wiecznym, tułając się i cierpiąc męki, spowodowane wyrzutami sumienia. A towarzystwem jego odtąd będą tylko ukochane płótno, pędzle i farby. Ostatnie słowa wypowiedziała z ironią.

Mieszkańcy, którymi to wydarzenie wstrząsnęło nazywali odtąd sławny pojedynek malarzy „lęborskim pojedyńkiem Apolla i Marsjasza”. Powiadają, że do dziś dusza Waleriana błąka się po starych ulicach Lęborka, szczególnie mając sentyment do małej pozostałości po zamku krzyżackim, który sam często nawiedza.

...

Staruszek podniósł do góry powieki, które nieświadomie miał przymknięte, słuchając wzruszającej, a zarazem dosyć nietypowej legendy tajemniczego artysty. Spojrzał na skończony już obraz. Przedstawiał on dwóch, pochłoniętych bez reszty pracą, malarzy, stojących naprzeciw siebie w odległości kilku metrów, każdy przed swoim obrazem. Znajdowali się na starym XVII-wiecznym rynku. Dookoła otaczali ich ciekawscy gapię.

- Czy mógłbym zakupić od Pana ten obraz? Oddam swój stary zegarek. Jediną cenną rzecz, którą przy sobie mam, godną na miarę tego dzieła- spytał z dziwnym wyrazem twarzy Zdzisław.

- Ależ oczywiście. Proszę.- Przyglądający mu się z zaciekawieniem malarz podał staruszkowi obraz w zamian za złoty zegarek. Zdzisław od razu spuścił wzrok, aby podziwiać swój nowy nabytek.

Jego uwagę przykuły inicjały w dolnym, lewym rogu. Widniały tam dwie litery.- F.W. Otworzył usta by spytać o nie malarza, jednak... artysty już tam nie było. Intuicyjnie odwrócił obraz w nadziei, iż z drugiej strony znajdzie odpowiedź. I znalazł. Malarz przekazał mu wiadomość.

„Obwieściła mu, że odtąd będzie żył życiem wiecznym, tułając się i cierpiąc męki, spowodowane wyrzutami sumienia. A towarzystwem jego odtąd będą tylko ukochane

plótno, pędzle i farby. Dopóki, dopóty nie spotka człowieka o czystej, krystalicznej duszy, który znając jego przeszłość szczerze będzie mu współczuł i kupi jedno z jego dzieł oddając za to wszystko co posiada, wtedy obróci się w proch i odnajdzie spokój w wiecznym odpoczynku.- Myliła się. Nigdy nie byłam sam. Był ze mną mój jedyny przyjaciel i rywal. To nasze wspólne dzieło."

Staruszek ruszył z miejsca, kierując się przed siebie z niemym wzrokiem. Pod pachą ściskając dzieło... starych artystów wszech czasów.

*Informacja o tym, że Ludwika Maria Gonzaga de Nevers odwiedziła Lębork w drodze do Gdańska została zawarta w przewodniku turystycznym- „Ziemia Lęborska”, autorstwa Wiesława Budkowskiego oraz Przemysława Mikusińskiego.